grudzień 2014 nr 11 vol 2

egzemplarz bezpłatny

PRZYMAT

bialski miesięcznik społeczno-kulturalny

Coś się kończy, coś zaczyna

Czas zrobił swoje – Pieńkowski

LARP na dwa głosy

Bella kariera

Przymat ISSN 2300-018X

felietony
W sprawie prezentów i pożegnań – Radosław Plandowski 4
Opowieść niekontrolowana – Katarzyna Fronc 5
Najlepsza komórka – Gabriela Kuc-Stefaniuk 8
Ocalić święta – Joanna Olęcka 9
Zawiniątko – Jacek Daniluk 10
Polubić święta – Małgorzata Brodowska 11

miasto
Raport Żuka – zdjęcia lotnicze Joanny Żuk 6

ludzie
Coś się kończy, coś zaczyna – rozmowa z prezydentem Andrzejem Czapskim 12

sztuka i ludzie
Czas zrobił swoje – wywiad z Romanem Pieńkowskim 16

ludzie
Bella kariera 20

biznes
Zdrowie i uroda pod jednym adresem 24

pasje
Oddech kanibala, czyli o larpach na dwa głosy 26
W ferajnie klawo jest 28
Maksymalnie – 30-lecie Maksymy 30

wiersze wujka Jacka
„Jacuś pracuś” 32

do-słowny miszmasz Edyty Tyszkiewicz
(Nie)Zbędne przedświąteczne porządki 33
„Zimowa róża” – recenzja książki

miasto
Bohaterowie bialskich ulic – Ul. Zbysława Ciołkosza 34

psycholog Karolina Laszuk
Zima – czas dla bliskich 35

kuchnia Małgorzaty Tymoszuk
Pierniki łączą ludzi 36

kalendarz wydarzeń na grudzień 38
wydarzyło się w listopadzie 40

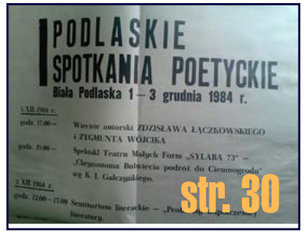

fot. Andrzej Koziara

PRYZMAT Biała Podlaska ISSN 2300-018X
Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3
Koordynator wydawcy: **Renata Szwed (r), tel. 83 341 61 44**
Redaktor naczelny: **Andrzej Koziara (ak), 690 890 580**
Redakcja: Renata Szwed, Katarzyna Fronc, Edyta Tyszkiewicz, Małgorzata Tymoszuk, Karolina Laszuk, Joanna Olęcka, Radosław Plandowski, Gabriela Kuc-Stefaniuk
Foto: Małgorzata Piekarska, Elżbieta Pyrka, Andżelika Żeleźnicka, Natalia Wołosowicz, Joanna Żuk
Druk: Top-Druk, 18-402 Łomża, ul. Nowogrodzka 151A
Wydawca; Urząd Miasta Biała Podlaska, 21–500 Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3
e–mail: pryzmat@bialapodlaska.pl, www.facebook.com/magazynpryzmat
Nakład: 3000 egz. Egzemplarz bezpłatny.
Treści zawarte w czasopiśmiePryzmat Biała Podlaska, chronione są prawem autorskim. Wszelkie przedruki całości lub fragmentów artykułów możliwe są wyłącznie za zgodą wydawcy. Odpowiedzialność za treści reklam ponosi wyłącznie reklamodawca. Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów tekstów, nadawania śródtytułów i zmiany tytułów. Nie identyfikujemy się ze wszystkimi poglądami wyrażanymi przez autorów na naszych łamach. Nie odsyłamy i nie przechowujemy materiałów niezamówionych. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wydawnictwo ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36 pkt. 4 prawa prasowego).

przez PRYZMAT

Andrzej Koziara

Łamię dziś swoją najświętszą zasadę ustaloną dla „Pryzmatu”, czyli nie mieszać samorządu z gazetą. Łamię ją głośno i świadomie, ale wiedząc, że nie wpłynie to już na wynik wyborów, bo mieszkańcy wybrali, na dobre czy na złe, jak co cztery lata w demokratycznym głosowaniu. Pozwalam sobie na ten wyjątkowy głos, bo sytuacja też jest wyjątkowa. Z urzędu odchodzi człowiek, dzięki któremu pokochałem to miasto i jego mieszkańców, chociaż mój mały flirt z Białą zaczął się dużo wcześniej.
Trzydzieści parę lat temu przyjechałem do Białej Podlaskiej jako muzyk zespołu Bajm. Nasz ówczesny basista pochodził stąd i przyjechaliśmy dzień lub dwa wcześniej odwiedzić jego rodzinę i zobaczyć miasto. Było egzotycznie, jak dla mnie. Ludzie mówili z dziwnym akcentem, byli mili otwarci i zaciągali tak, jakby cały czas śpiewali. Kiedy myśmy na scenie grali piosenki do pełnej sali, gdzieś tam w innym końcu miasta konspirowali działacze „Solidarności”. Wśród nich był Andrzej Czapski. Nie był na koncercie i nie poznaliśmy się. Ale polubiłem Białą po tej pierwszej wizycie.
Niespełna 30 lat później wróciłem do Białej, żeby poznać prezydenta Czapskiego. Jako dziennikarz pracowałem w wielu krajach świata i poznałem wielu włodarzy wiosek, miast, państw... W niektórych miastach od razu mi się podobało. W tych miastach rządzili ludzie wielcy na miarę miejsca i czasu. Tak było z Białą. Tu chciałem zrealizować swoje marzenie – stworzyć gazetę, która będzie mówiła o mieszkańcach, nie o politykach. Problem z takimi układami jest taki, że jeśli samorządowiec płaci za gazetę, chciałby, żeby o nim pisała. Proponowałem ten pomysł w innych miastach. Samorządowcy nie byli zainteresowani. Pierwszy i jedyny zareagował prezydent Andrzej Czapski. Znał miasto, kochał ludzi. I wciąż ich kocha.
Przez ostatnie dwa lata spotykaliśmy się wielokrotnie, pijąc kawę i jedząc ciastka pieczone przez uczniów w czasie szkolnych warsztatów z Białej. Wysłuchałem wielu opowiadań o ciekawych ludziach, którzy wciąż tu mieszkają.
Kiedy mieszkańcy wybrali kogo innego na prezydenta, nie usłyszałem ani jednego słowa skargi pod ich adresem. „Widocznie nie wszystko zrobiłem tak, jak by chcieli. Może w którymś momencie ich zawiodłem.” Jak zwykle wszystko wziął na klatę.
Nowy prezydent będzie miał tu pewną trudność – mieszkańcy przyzwyczaili się do tego, że się ich słucha i trochę rozpieszcza. Że prezydent jest dla nich, a nie oni dla prezydenta. Że urząd ma dla nich otwarte drzwi, i że się z nimi ważne dla miasta sprawy konsultuje.
Wielcy ludzie nigdy tak naprawdę nie odchodzą – stają się instancją, do której inni będą się odwoływać. I nawet jeśli już nie będzie stał za nimi urząd, to nigdy nie stracą zasłużonego autorytetu.

Andrzej Koziara

Radosław Plandowski

W SPRAWIE PREZENTÓW I POŻEGNAŃ

Wybory samorządowe za nami. Chociaż, czy tak naprawdę można stwierdzić, że wybory kończą się kiedykolwiek? Na co dzień podejmujemy tysiące przeróżnych decyzji, debatujemy i rozsądzamy, stawiamy na lepsze zło, odmieniamy życie, składamy postanowienia noworoczne. Cały rok coś wybieramy, zatem bez różnicy, jeden wybór (może trzy) więcej. Oczywiście, że są decyzje długotrwałe, skutkujące konsekwencjami na całe życie albo chociaż na te kilka lat. Wiedzieli o tym doskonale kandydaci na prezydentów, wójtów i radnych. Wszyscy mieli pewność, że jak mi coś dadzą, to ja im oddam krzyżykiem na czteroletnią drogę. I tak nieco przedwcześnie uzbierała się mała lista niechcianych prezentów pod choinkę od kandydatów z mikołajowymi aspiracjami (niektórzy nawet chcieli być świętymi Mikołajami). W każdym razie dostałem zapałki, co to miały gasić, a w rzeczywistości świetnie rozpalały. Było co palić, bo w ciągu kilku tygodni uzbierała się całkiem obfita porcja wyborczych śmieci. Mylił się ksiądz Twardowski, pisząc, że „zostaną po nas buty i telefon głuchy". Otóż nie! Po niektórych zostaną ulotki pełne bajkowych opowieści, historie nie z tej ziemi, bialskiej ziemi. Pewnie lepiej byłoby zachować te laurki do następnych wyborów, sprawdzić stan faktyczny z zakładanym, wyciągnąć wnioski, podjąć lepsze wybory. Jakoś mam świadomość, że ktoś już za nas to odbędni, a pod dachem przynajmniej trochę czyściej i cieplej.

> „Słówko o segregacji. Pewien kandydat rozdawał reklamówki (to akurat żadna ekologia). Przydała się, bo – jak wiadomo – z taką, co prawda nigdzie nie pójdziesz, za to świetnie nadawała się do frakcji mokrej, nieco śmierdzącej."

Żeby jednak nie wyszło, że z ekologią mi nie po drodze – słówko o segregacji. Pewien kandydat rozdawał reklamówki (to akurat żadna ekologia). Przydała się, bo – jak wiadomo – z taką, co prawda nigdzie nie pójdziesz, za to świetnie nadawała się do frakcji mokrej. Solidne dzieło od mokrej roboty, może tylko nieco śmierdzącej.
Kontynuując wątek bliski naturze, inny zaradny wpadł na pomysł, żeby drzewka ludziom rozdawać. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że rozdawał je mieszkańcom otoczonym lasami i tysiącami podobnych drzewek, które w tych stronach często nieproszone same wdzierają się na podwórka. Zatem jedno więcej, chociaż jakoś mam pewne wątpliwości, czy się przyjmie. Jakby co, się wykopie.

Prezentów przedświątecznych było bez liku. Może nie smakowały tak dobrze, jak to zapamiętałem z dzieciństwa. Nie pachniały pomarańczami i mandarynkami, ciepłem domowej troski, poczuciem bezpieczeństwa i jedności, bo przy stole zawsze byliśmy razem, mimo że często bywało nam nie po drodze. Drzewko sztuczne, ale tak samo ważne i piękne. Pod nim tajemnica i oczekiwanie, której z każdym rokiem coraz mniej. Życzyłbym każdemu dzieciakowi takiej magii, wiary w kolesia z brodą i workiem wypchanym nieodgadnionymi pakunkami, ale też radości obdarowywania i dzielenia, bo na te rzeczy nigdy nie powinniśmy być za starzy. Takiej radości nie dostarczył mi żaden przedwyborczy gadżet, bo nie mógł, bo szczere prezenty, które pamiętamy przez całe życie, dostaje się raz na jakiś czas, często tylko i aż jeden raz. I jestem gotów się założyć, że każdy z was trzyma w sobie wspomnienie takiego prezentu.
Jednak komu w głowie podarki, gdy trzeba się żegnać? Gdy nieuchronnie nadchodzi moment rozliczeń i podsumowań? Gdy bez pytania każą wyzerować konto, zapomnieć, co było, otworzyć nowy rozdział? W takich sytuacjach nigdy nie będzie łatwo, zawsze trzeba zmagać się z dylematem sentymentu, powstrzymać od radykalnych ocen i osądów. Powiedzmy szczerze – coś się kończy, coś zaczyna. Nigdy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, wszystko płynie. Było miło, czasem bardziej, czasem mniej. Żeby wypowiedzieć słowa pożegnania trzeba mieć... wiele odwagi. Dlatego żegnajcie, nie przeczytacie więcej naszych felietonów, tekstów biznesowych i kulturalnych, nie zobaczycie świetnych fotografii i tekstów o modzie ani nie poznacie nowych bohaterów ulic. Wychodzimy po raz ostatni w tym roku i wypada życzyć, aby następny był równie ciekawy. Do zobaczenia i do przeczytania!

Katarzyna Fronc

O BEZNADZIEI I SABOTAŻU MAŁOLATÓW

OPOWIEŚĆ NIEKONTROLOWANA

Och-Teatr! Och Janda! Aktorka na deskach swojego teatru po latach założyła ponownie „Białą bluzkę" Agnieszki Osieckiej. W końcówce lat 80. jeździła z tym spektaklem po Polsce, a za nią dziewczyny (ale nie tylko), które uwierał komunizm. Którym stan wojenny dał w kość. Wtedy miałam mleko pod nosem. Ale nadrobiłam zaległości. Na przestrzeni lat kilkakrotnie przeczytałam opowieść o dziewczynie zakochanej w opozycjoniście i próbującej poradzić sobie z realiami stanu wojennego: z godziną milicyjną, kartkami, stempelkami, absurdami... Z beznadzieją. Ale nie będę ani recenzowała spektaklu, ani książki, na podstawie której powstał. Chciałam powiedzieć tyle, żeby w grudniu, kiedy w koło wszystko świeci i dzwoni bożonarodzeniowo, warto wrócić pamięcią do wydarzeń sprzed trochę ponad trzydziestu lat. Do historii, która była udziałem wielu z nas. Jednych więcej, innych – jak mnie – mniej, ale jednak była.
Nie mam prawa pamiętać 13 grudnia 1981 r. Nie mam, bo miałam wówczas nieco ponad pół roku. Ale mój przyjaciel, ma się rozumieć starszy ode mnie, i to o całą dekadę, pamięta to tak...
„Jak generał z towarzyszami wprowadzał stan wojenny, miałem nieco ponad 10 lat. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, a zwłaszcza nie znałem kierunku, z którego nadchodziło zagrożenie. Z rówieśnikami wsłuchiwaliśmy się w rozmowy rodziców i starszych kolegów, słyszeliśmy wcześniej o strajkach, głównie na Wybrzeżu, Solidarności i o Wałęsie. Po 13 grudnia 1981 r. i u nas pojawił się pluton ZOMO. Na murach porozklejano obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego.
My, dzieciaki z bloku, byliśmy ciekawi, jak wygląda miasto po godzinie milicyjnej. Zastanawialiśmy się, czy zomowcy i milicjanci będą strzelać do ludzi. Kumpel wpadł na pomysł, żeby to sprawdzić, oczywiście nic nie mówiąc rodzicom. W kilku wymknęliśmy się z domów, kiedy rodzice zasnęli. Chodziliśmy ulicami, chowając się za budynkami. Nie spotkaliśmy żywego ducha. Żadnego patrolu.
Jak nieco oswoiliśmy się z widokiem zomowców, zaczęliśmy zakradać się przed budynek, w którym zostali zakwaterowani. Podglądaliśmy, co robią. Dzieci z natury są spostrzegawcze, więc i nam nie umknęło, że społeczeństwo nie było im zbyt przychylne. Po zmroku z ukrycia wykrzykiwaliśmy niecenzuralne epitety pod adresem znienawidzonych i przez nas zomowców, by za chwilę, ile sił w nogach, zmiatać do domów. Z czasem tego typu zabawa stała się punktem kulminacyjnym niemal każdego wieczoru. Do czasu. Zomowcy to „inteligentne" typy i zorganizowali zasadzkę podczas naszego kolejnego koncertu pozdrowień od narodu. Udało nam się uciec, ale w ich ręce wpadł upośledzony chłopak z osiedla. Był zupełnie niewinny. Szedł tylko z kierunku, w którym my uciekliśmy. „Dzielne" ZOMO porządnie obiło go pałkami. Chcieli biedaka wylegitymować, krzycząc: ausweis, ausweis! Bogu ducha winien nie wiedział, o co chodzi. Poza „żółtymi papierami" innych nie posiadał, a tych, które posiadał, na spacer nie zabierał nawet w stanie wojennym. Kiedy zomowcy zorientowali się, że to jednak pomyłka, dali chłopakowi kopniaka w tyłek, zamykając ostatecznie sprawę. W naszych oczach była to pierwsza ofiara wojskowego reżimu. Żeby nie cierpieli niewinni, zaniechaliśmy akcji, ale tylko na jakiś. czas.

> „Od czasu do czasu napisało się na murze coś, czym pan generał mógł się poczuć urażony, ale bytowi socjalistycznego państwa raczej to nie zagrażało."

Pewnego popołudnia 1982 r. do naszych drzwi zapukało dwóch milicjantów. Zapytali mamę o imiona moje i brata. Mina mi zrzedła, bo nie miałem czystego sumienia, chociażby ze względu na wcześniejsze wieczorki z ZOMO. Tym razem chodziło jednak o coś poważniejszego. Milicjanci oświadczyli, że posiadają informacje, że na murach wypisywaliśmy z bratem kredą hasła antyrządowe. Chcieli przeszukać nasze tornistry. Wystraszony byłem bardzo, bo w moim mogło coś zostać, a wtedy tłumaczenia mogłyby nie wystarczyć. W tamtym czasie dzieciaki nosiły kredę chociażby do rysowania ścieżek do gry w kapsle. Ja dawałem ją papudze zamiast wapna. Od czasu do czasu napisało się na murze coś, czym pan generał mógł się poczuć urażony, ale bytowi socjalistycznego państwa raczej to nie zagrażało. Milicjanci pogrozili palcem i poszli, kiedy mama zapewniła ich, że ojciec wychowuje nas w duchu socjalistycznym, wpajając poszanowanie wartości i myśli reprezentowanych przez Lenina, Marksa i Engelsa.
Stan wojenny się skończył, ale kryzys trwał. Ja i rówieśnicy dorastaliśmy, dzieląc czas pomiędzy szkołę oraz oczekiwanie w kolejkach, żeby cokolwiek kupić. Do dzisiaj w domu moich rodziców leżą buty, które kupiłem w okresie najgłębszego kryzysu z obawy, że więcej nie będzie ich w sprzedaży. Absurd gonił absurd. Stojąc w wielogodzinnych kolejkach, przykro było patrzeć, jak komendant milicji z uśmieszkiem i pogardliwym spojrzeniem wynosił z zaplecza sklepu torby pełne towarów, po które stało się w kilometrowych kolejkach. Na to, czego spod lady nie kupili oficjele, za chwilę miał się rzucić tłum oczekujących.
W połowie lat 80. zacząłem naukę w ogólniaku, a tam opozycja działała mocno. Młodzież odważnie nosiła oporniki suwakowe w klapach i kpiła z komuny. Większość uczniów jawnie krytykowała system, ale nauczyciele woleli się nie narażać. W tych czasach przeprowadziłem z kolegami akcję sabotażową, która omal nie zakończyła się wpadką. Przewodniczącym organizacji partyjnej w szkole był nauczyciel WF-u, który z dumą zawiesił stosowną tabliczkę na drzwiach swojego gabinetu. Chcieliśmy ją buchnąć, ale w trakcie odkręcania nauczyciel-działacz pojawił się w korytarzu i zauważył, że coś kombinujemy. Tabliczka trzymała się na ostatnim wkręcie, ale przewodniczący tego nie zauważył. Dopiero, kiedy przeciąg zatrzasnął drzwi, z hukiem rozbiła się o podłogę. Ile było smutku w oczach przewodniczącego, jaki żal z utraty atrybutu władzy!
W wakacje 1987 r. byłem świadkiem ciekawego z socjologicznego punktu widzenia zjawiska. Jechałem z bratem pociągiem (dawny „Szczecin") do Jarocina. Im dalej na zachód, tym więcej wsiadało alternatywnej młodzieży. W nocy na jakiejś stacji w okolicy Kutna przez okno zauważyliśmy stojący naprzeciwko wojskowy pociąg z ruskimi sołdatami. Nie trzeba było długo czekać – kilkuset małolatów wywrzeszczało setki pozdrowień, życząc „bratniej" armii jak najszybszego powrotu do domu. Ruscy miotali się ze złości, ale nic zrobić nie mogli. Pociąg ruszył, sprawa rozeszła się po kościach, a media oczywiście temat przemilczały.
Szara rzeczywistość nie pozbawiała nas marzeń. Każdy liczył, że przyjdą zmiany." No i przyszły. I to będzie na tyle.

Raport Żuka

Jeśli widzieliście małego „żuczka", krążącego nad miastem, to była właśnie Joanna Żuk, pasjonatka lotnictwa i fotografii. Prezentujemy fantastyczne zdjęcia naszej współpracowniczki, pokazujące Białą Podlaską z perspektywy, z jakiej niewielu dane jest ją oglądać.

Caritas, dalej ulice Spółdzielcza i Warszawska. Foto Joanna Żuk

Gabriela Kuc-Stefaniuk

NAJLEPSZA KOMÓRKA

Większość z nas kojarzy rysunek z podręczników do historii czy biologii albo z Internetu, przedstawiający drogę człowieka od małpy na czterech łapach do dwunożnego homo erectusa. Pomiędzy małpą a wyprostowanym osobnikiem widać na nim kilka stadiów pośrednich. Cały ten proces ewolucji przebiegał jednak bardzo długo. Jego długość liczymy w erach, nie w latach. Dzisiaj wszystko jest szybsze, nawet ewolucja. Można to zaobserwować na przykładzie kciuka. Jeszcze jakieś piętnaście lat temu kciuk był średnio wygimnastykowanym palcem, służącym głównie do pomocy przy chwytaniu. Dziś kciuk to podstawa komunikacji (obsługa telefonów), zdobywania wiedzy o świecie (obsługa pilota do telewizora) i radzenia sobie w nim (obsługa wszystkiego innego, co można sterować pilotem). Nawet noworodki mają już na starcie sprawniejsze kciuki. W okresie bożonarodzeniowo-sylwestrowym kciuk jest – w skali roku – w kondycji szczytowej. Miarą sprawności kciuka są: długość świąteczno-noworocznych życzeń, tempo, w jakim jesteśmy w stanie je przepisać i ilość tychże wysyłanych w ciągu minuty. Badanie statystyczne zjawiska najłatwiej przeprowadzić w czasie pasterki. Grupa badanych jest różnorodna (różny wiek, obie płcie, zróżnicowany poziom wykształcenia i status). Od pierwszych minut pasterki często łatwiej usłyszeć „Last Christmas" niż „Przybieżeli do Betlejem". Organista przegrywa z hiciorem i polifonicznym dzwonkiem. Alternatywą dla przeboju z lat 80. ubiegłego wieku jest radosne „Ho ho ho" oznaczające, iż „sms nadszedł".

> „Jakieś piętnaście lat temu kciuk był średnio wygimnastykowanym palcem, służącym głównie do pomocy przy chwytaniu. Dziś kciuk to podstawowe narzędzie komunikacji."

Jesteśmy jednocześnie świadkami błyskawicznego rozwoju kolejnego palca – wskazującego. On odpowiada za przesuwanie tasiemcowych życzeń oraz przekierowanie ich do kolejnych adresatów. Życzenia w esemesach płyną nie strugą, a wodospadem. „Mikołaj święty, co niesie prezenty" to już nie motyw, a topos. Rymowanki niemające końca świadczą o nieograniczonej wyobraźni „twórców" i ograniczonej ilości stosowanych rymów. Nieważne, że mózg nie nadąża za tekstem przesuwanym palcem wskazującym lub kciukiem w szczytowej fazie ewolucji. Chodzi o to, by wklepać kolejnych adresatów, bo przecież „w święta trzeba pamiętać". Nawet jeśli się nie pamięta, kim jest osoba zapisana jako „Gośka. 3.30 Gramofon". Nieistotne. Niech Gośka ma. Kciuk i palec wskazujący rozwijają nam się błyskawicznie. Można się spodziewać, że po nich przyjdzie kolej na kolejne palce. Potem na dłonie, całe ręce. Jest szansa, że znów będziemy się potrafili poruszać na czterech kończynach. Palce się rozwijają, tylko żeby nam komórki nie siadły. Szare.

Joanna Olęcka

OCALIĆ ŚWIĘTA

Mówią, że jestem dziecinna, infantylna, że głowę noszę w chmurach... To wszystko prawda, nie dyskutuję z żadną z tych opinii. Powiem więcej, chełpię się nimi i traktuję jako osobistą wartość.
Moi przyjaciele wiedzą, że mimo dojrzałego wieku, otwarcie przyznaję się do wiary w świętego Mikołaja i naprędce mam zawsze co najmniej dwie historie, potwierdzającego jego istnienie i uzasadniające moją wiarę w orędownictwo biskupa z Miry. Duma z bycia dużym dzieckiem odżywa szczególnie w okresie Bożego Narodzenia. Czy to za sprawą wychowania wyniesionego z rodzinnego domu, czy też może jakiś wewnętrznych predyspozycji wydaje mi się, że celebrowanie tychże świąt jest w moim życiu czymś szczególnym. W dzieciństwie, jak pewnie wielu z nas, próbowałam się odnaleźć gdzieś między walką dorosłych o luksusy na świąteczny stół, szalonym i niemającym końca sprzątaniem domu a marzeniami o tym, co znajdę pod choinką w wigilijny wieczór. W latach 90. marzenia pobudzać zaczęły kolorowe reklamy telewizyjne, a estetykę świąt dyktować zachodnia „nowomoda", m.in. na domy i całe obejścia skąpane w kolorowych, drażniąco mrugających lampkach. Dobrze pamiętam, jak unosząc się na wizji mającego wkrótce nadejść dobrobytu walczyłam w mroźny wieczór, próbując zgrabiałymi od zimna rękoma zaplatać łańcuchy światełek wokół całkiem jeszcze peerelowskiej rynny rodzinnego domu. To wszystko dawało wielką radość, sprawiało że rzeczywistość nabierała bajkowego charakteru i choć przez moment można było udawać, że życie nie jest szare, a my jesteśmy dla siebie zwyczajnie dobrzy.

> „Kiedy świąteczne szaleństwo zaczyna się już wczesną jesienią, odczuwam fałszywość wszystkich nachalnie przypominających mi o świętach gadżetów."

Dzisiaj, kiedy świąteczne szaleństwo zaczyna się już wczesną jesienią, odczuwam fałszywość tych wszystkich nachalnie przypominających mi o świętach gadżetów. Gdzieś dociera do mnie, jak z każdym rokiem ktoś lub coś wykrada mi moje polskie święta. Moja dusza czuje się gwałcona już od października, kiedy podczas zupełnie codziennych, nieświątecznych zakupów atakują mnie czekoladowe mikołaje, plastikowe bombki z Chin, welurowe poroża reniferów na półkach marketów. Zamiast świątecznej prostej radości zaczynam odczuwać smutek, który zmusza do pewnej refleksji nad Polską i polskimi świętami.
Nad tym, jak sami wyrzekamy się tradycji i związanej z nią własnej tożsamości. Przygotowania do świąt przypominają coraz bardziej bezwiedny chocholi taniec, z którego budzą się tylko jednostki. Mamy sklepy z pełnymi półkami, amerykańskie „Christmas songs", poprawne politycznie kartki okolicznościowe z radosnymi hasłami „Happy holiday" zamiast „Wesołych świąt Bożego Narodzenia", mamy nowe telewizory 3D zakupione w jakże korzystnej świątecznej przecenie i tylko jakoś Boga coraz mniej w tych świętach. Z chocholego tańca zaczynam się budzić i ja, bardziej doceniać niuanse, delikatne i ciche jak grudniowa noc niedopowiedzenia, które tak naprawdę są istotą tych świąt.
Polskie święta, moje święta, nie krzyczą, nie pchają się w przebraniu czerwonego krasnala w każdą możliwą przestrzeń. Cicha noc, święta noc... Wigilia, która nie jest radosnym „party". Szukam łapczywie i zagarniam każde wspomnienie tych dawnych świąt, pierwszej gwiazdki, rodzinnych spotkań przy stole u babci. Tęsknię za czasem radosnego oczekiwania, kiedy to dopiero palące się wczesnym grudniowym porankiem adwentowe lampiony w zmarzniętych dłoniach dzieci zapowiadały zbliżające się Boże Narodzenie. Czy możemy jeszcze ocalić nasze święta? Ocalić przed marketingiem, sprzedażą, bilansem, reklamą? Zastanówmy się wszyscy, czy nie stajemy się częścią żarłocznego, konsumpcyjnego potwora, zasysającego wszystko do siebie.
Drodzy czytelnicy, bialczanie, zatrzymajmy się na chwilę. Nie dajmy się zwariować. Zasiądźmy z rodzinami przy wigilijnym stole, wyłączmy telewizor, zaśpiewajmy polską kolędę i, na Boga, bardzo Was proszę, wpuśćmy do swych domów kolędników, jeśli jeszcze jakimś cudem takowi się pojawią. Zauważmy w tych świętach drugiego człowieka, poszukajmy także siebie. Dzielmy się miłością jak chlebem. W wigilijną noc, jak co roku, spotkajmy się na pasterkach w białskich kościołach i za radą naszego wieszcza Mickiewicza, postarajmy się, by ten mały Chrystus narodził się także w nas samych, dając tym samym nadzieję dla tego świata.
Tak, może jestem dziecinna i prosta w swych uczuciach, dlatego z tęsknotą czekam chwili, kiedy zegnę w pokorze swoje kolano przed maleńkim żłóbkiem, a moje oczy, słysząc „Bóg się rodzi, moc truchleje...", zajdą łzami wzruszenia. Takiego odczuwania świąt Bożego Narodzenia, miłości i świętego spokoju życzę Wam wszystkim.

Jacek Daniluk

ZAWINIĄTKO

Gdzieś w bezkresnych przestrzeniach Syberii dawno już zapadła się ziemia i rozleciały spróchniałe krzyże w miejscu pochówku pewnego małżeństwa polskich powstańców. Wiemy o nich tylko tyle, że nazywali się Fijałkowscy i pochodzili z Gór Świętokrzyskich. I że mieli syna. Byli jednymi z wielu tysięcy ofiar carskich represji. Dlaczego więc właśnie o nich jest ta historia? Tysiące ludzi dowiedziały się o nich dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności. A było to tak...

To był jeden z normalnych dni mojej pracy. Prowadzę firmę w branży budowlanej i właśnie podpisywałem umowę z klientem. Starszy pan przedstawił się jako Fijałkowski. – Jakoś dotychczas nie miałem okazji poznać kogoś o tym nazwisku – powiedziałem właściwie tylko dla podtrzymania rozmowy podczas wypełniania formularza.

– A, bo my to gdzieś z Gór Świętokrzyskich pochodzimy – odparł klient. – Naszego przodka matka pozostawiła przy drodze, jak ją z mężem na Sybir pędzili.

– Że co? Matka własne dziecko przy drodze zostawiła? – przestałem wypisywać umowę i naprawdę zainteresowałem się tematem.

– Wie pan, takie czasy były. Po powstaniu styczniowym tysiące Polaków zesłano na katorgę. Wiadomo było, że w drodze dziecko może umrzeć, to je zostawili gdzieś przed lasem koło Dąbrowicy. Bo tamtędy trakt na most na Bugu szedł. Chłopczyka znalazło najbogatsze małżeństwo na całą okolicę. Bezdzietni byli, to i wychowali. A nazwiska dziecku nie zmienili. Ale może piszmy tę umowę.

– Zaraz, zaraz... To niesamowita historia. Czy zna pan więcej szczegółów? – zapytałem.

– E... To może z moim bratem pan pogada? On jakieś drzewo genealogiczne tworzy i bardziej jest zorientowany. Pułkownikiem w straży pożarnej był. Numer telefonu mogę dać. Ale co pan tak się tym zainteresował?

– Mam takie hobby, że piszę wiersze i bajki dla dzieci. Zdarzyło mi się też napisać kilka scenariuszy przedstawień. A to jest świetny temat na przedstawienie. Koleżanka, prowadząca kółko teatralne przy Zespole Szkół w Janowie Podlaskim, prosiła mnie o napisanie czegoś na 150. rocznicę powstania styczniowego, a ten temat pasuje jak ulał. Czy zgadza się pan na wykorzystanie nazwiska i tej historii?

– Ja tam nie mam nic przeciwko, ale pogada pan z bratem. Mam też drugiego brata w Koszołach – teraz z kolei starszy pan wyraźnie zainteresował się tematem.

Podpisaliśmy w końcu umowę, wziąłem adres i numer telefonu brata i już po kilku dniach popijałem herbatkę w towarzystwie sympatycznego emerytowanego pułkownika straży pożarnej. Pan Stanisław był typem gawędziarza i rozmowa z planowanych 15 minut przedłużyła się do dwóch godzin.

– To jak to było z tym dzieckiem? – zapytałem.

– Rodzice doszli do wniosku, że lepiej zostawić je przy uczęszczanym trakcie niż zabierać na pewną śmierć na Syberii. Tam nawet dorośli umierali, a co dopiero niemowlę, jeżeli w ogóle by tam dotarło?

– A skąd wiadomo, jak się chłopczyk nazywał? – pytałem dalej.

– Miał przyczepioną karteczkę do ręki, że nazywa się Fijałkowski i że pochodzi z Gór Świętokrzyskich.

– Ta karteczka zachowała się?

– Niestety nie. Nie wiadomo też, jak nazywali się ci, którzy znaleźli niemowlę. Wiadomo tylko, że byli bogaci i nie mieli własnych dzieci. Dziecku na pewno niczego nie brakowało, ale miejscowi mówili na niego „Znajdun", tak więc potomni nie afiszowali się z tą historią.

Pan Stanisław opowiadał mi o swoich dociekaniach, co do historii rodziny i przypuszczeniach, skąd dokładnie pochodzili zesłańcy.

> „Rodzice doszli do wniosku, że lepiej zostawić dziecko przy uczęszczanym trakcie niż zabierać je na pewną śmierć na Syberii. Tam nawet dorośli umierali, a co dopiero niemowlę"

Wróciłem do domu i zacząłem pisać scenariusz. Moja koleżanka Agnieszka, która opiekowała się kółkiem teatralnym, prosiła, aby trwało nie dłużej niż 40 minut. Zawsze staram się, aby moje teksty nie tylko bawiły, ale też uczyły. Wplotłem więc wątki bitw powstańczych na terenie Podlasia i autentycznych zdarzeń z autentycznymi postaciami. Trochę upiększyłem sceną rozpaczy matki zostawiającej dziecko i radości bezdzietnej kobiety, która je znalazła. Wpisałem też dialog powstańca, którego przed kozacką kulą ratuje noszony na piersi modlitewnik otrzymany od umierającej matki. Każde przedstawienie musi mieć takie kwiatki, żeby nie było nudne. Tylko jaki dać tytuł? Kto właściwie jest bohaterem? Najważniejsze jest tu niemowlę zawinięte w tobołek. Scenariusz nazwałem więc „Zawiniątko".

Wreszcie wielki dzień. Spektakl wystawiono podczas uroczystej akademii z udziałem miejscowych oficjeli, posłów i dziennikarzy z lokalnej prasy. Młodzież z janowskiego Zespołu Szkół nieźle ucharakteryzowana, zesłańcy z opatrunkami naprawdę budzili współczucie. A rozpacz matki, mającej zostawić na pastwę losu swoje własne dziecko, była naprawdę przejmująca. Rozejrzałem się po widowni. Chyba się podobało.

Następna prezentacja odbyła się w Janowie Podlaskim. Przyjechali potomkowie „Zawiniątka". Było bardziej na luzie, bez tych wszystkich pocztów sztandarowych. Myślę, że młodzież zagrała jeszcze lepiej. Po przedstawieniu pan Stanisław miał wygłosić prelekcję na temat powstania styczniowego. Nasz poczciwy pułkownik wszedł na scenę i z początku głos mu się łamał ze wzruszenia. Pomyślałem sobie: faktycznie, dla mnie to ciekawa historyjka, a dla niego to przecież historia jego rodziny. Jego przodkowie tak martwili się, żeby ich nazwisko nie zaginęło. Udało się dlatego, że ich dziecko znaleźli uczciwi ludzie i nie zmienili mu nazwiska, a sto pięćdziesiąt lat później dowiedział się o tym pewien pisarz-hobbysta, który miał koleżankę wystawiającą przedstawienia. Ta koleżanka potrzebowała właśnie scenariusza o takim temacie. Zbieg okoliczności? A może zostało to wymodlone przez pewne małżeństwo zesłańców, których kości leżą gdzieś w bezkresnych przestrzeniach Syberii.

Małgorzata Brodowska

POLUBIĆ ŚWIĘTA

Jako dziecko uwielbiałam święta Bożego Narodzenia. Biały śnieg za oknem. Dom pachnący pomarańczami, które można było kupić tylko raz w roku, właśnie przed świętami. Wysoka, żywa choinka, którą ubierałyśmy z siostrą własnoręcznie robionymi łańcuszkami z bibułek. Kolędy Mazowsza, płynące z lekko zacinającej się płyty. I to uczucie ściskania w żołądku w oczekiwaniu na spotkanie przy wigilijnym stole, łamanie się opłatkiem, życzenia.

A teraz nie lubię świąt i już. Myślałam, że to tylko moje odczucia. Okazuje się jednak, że wiele osób ma tak samo. No więc, co takiego jest w świętach, co powoduje, iż tak bardzo ich nienawidzimy? Chyba nie chodzi tutaj o same święta jako święta, ale o te dziwne rzeczy, które im towarzyszą.

Po pierwsze: nerwowa atmosfera, jaka wytwarza się z powodu miliona spraw do załatwienia. No bo jak tu się nie stresować, kiedy dywan jeszcze niewyprany, okna nieumyte, karp niekupiony? Wydaje się nam, że na święta musi być wszystko, tak jak w reklamach, więc poganiamy siebie, męża, dzieci. Mnóstwo w tym nerwów, złości, a przecież święta mają dawać radość.

Po drugie: sprzątanie. Wszystko trzeba idealnie wymyć, wyszorować, wyczyścić, odkurzyć, tak jakbyśmy nie sprzątały przez cały rok i właśnie Boże Narodzenie to pretekst, żeby to nadrobić.

Po trzecie: zakupy i gotowanie. Kiedy przy kasach w supermarketach widzę ludzi z wózkami wypełnionymi górą wszelakich produktów, głównie jedzenia, zaczynam się zastanawiać, czy grozi nam wojna albo klęska głodu i mamy się zabezpieczyć przynajmniej na jakiś czas? Czy naprawdę w święta tyle konsumujemy? Niestety, nie tylko żywności. Po zakupach nie wychodzimy z kuchni i gotujemy, gotujemy, gotujemy... Dużo za dużo. Jemy również ponad normę. Potem kilogramów przybywa, spodnie nie chcą się dopinać, a my stawiamy przed sobą noworoczne postanowienie: schudnę!

> „Czy naprawdę w święta tyle konsumujemy? Niestety, nie tylko żywności. Po zakupach nie wychodzimy z kuchni i gotujemy, gotujemy, gotujemy... Dużo za dużo."

Po czwarte: prezenty. Nigdy nie wiemy, co dla kogo, i za ile kupić? Miotamy się więc po sklepach, wydając masę pieniędzy na plastykowe zabawki dla dzieci i niepotrzebne rzeczy dla dorosłych.

Po piąte: sztuczność. Wszyscy są dla siebie mili przez dwa dni, a potem dalej się nienawidzą.

Niestety, wpojono nam taki model świętowania, który teraz dodatkowo utwierdzają w nas reklamy, więc czujemy przymus sprzątania, kupowania, gotowania ponad miarę, bo taka tradycja. Naprawdę? Czy musimy wypełnić to wszystko, aby mieć udane święta?

Kiedyś słyszałam, jak w jednym z kazań adwentowych pewien kapłan mówił (a grudzień był wtedy szary i deszczowy): „To dobrze, że w tegoroczne święta nie będzie śniegu. Nie będzie pretekstu do wytworzenia tak zwanej atmosfery sprawiającej, że powracamy myślami do świąt z naszego dzieciństwa, zamiast przeżywać święta tu i teraz. Popatrzmy, co się z nami stało? Co zrobiliśmy z tymi świętami? Dzwoneczki, gwiazdeczki, choineczki, reniferki, bałwanki, prezenciki – to niezbędne gadżety do świętowania. A gdzie w tym wszystkim Jubilat? Czy zaprosiliśmy Go do stołu wraz z ciotkami, wujkami, dziadkami, dziećmi? Przecież to Jego urodziny świętujemy. Więc gdzie On jest? Znów został sam w kościele? A my w supermarketach w przedświątecznej gonitwie za kolejnymi okazjami..."

Niech więc w spokojniejszym przeżywaniu świąt pomoże nam uświadomienie sobie, że to święta religijne. W Boże Narodzenie chrześcijanie powinni skupiać się nie na prezentach i ucztowaniu, ale na celebrowaniu przyjścia na świat Jezusa, wcielonego Boga i Zbawiciela. A skoro tak, to nieważne, co będziemy jedli i pili. Nie ma znaczenia, jak drogie prezenty kupimy. A może powinniśmy dać coś prawdziwie od siebie, np. własnoręcznie wydziergany szalik dla wnuka czy tacę ulubionych pierników od żony dla męża? A może najpiękniejszym prezentem gwiazdkowym będzie przebaczenie sobie nawzajem? Czas poświęcony drugiej osobie? Nie zapominajmy o tych prezentach, które nie rujnują naszego portfela, są w zasięgu każdego i których nie trzeba owijać w błyszczący papier. Ważne, co ten świąteczny czas zmieni w nas, w naszym wnętrzu, byśmy po nich nie stwierdzili kolejny raz z ulgą: „święta, święta i po świętach..."

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ ZACZYNA

z Andrzejem Czapskim, prezydentem Białej Podlaskiej czterech kadencji

rozmawiają:
Renata Szwed, Katarzyna Fronc i Andrzej Koziara

Panie prezydencie, dziwnie zaczynać rozmowę z Panem, wiedząc, że jest ostatnią, jaką przeprowadzamy w tym gabinecie. Szesnaście lat był Pan prezydentem...

– Dokładnie 1 grudnia 1998 roku objąłem ten urząd. Pamiętam, że przed przyjściem do pracy odwoziłem najmłodszego syna, Krzysia, do przedszkola. Teraz to już student. Szesnaście lat to najdłuższy okres, jaki spędziłem w jednym miejscu pracy. Jak zaczynałem tę przygodę, nie sądziłem, że tyle potrwa.

Nie zawsze był Pan prezydentem...

– Wiele różnych funkcji pełniłem w swoim życiu. Nazbierało się ich tyle, że można by obdzielić nimi parę osób. Jednak najważniejsze dla mnie pod względem doświadczenia i przeświadczenia, że uczestniczę w budowaniu społeczeństwa demokratycznego, było zasiadanie przez dwie kadencje w ławach senackich. Byłem wicemarszałkiem senatu. Jednak największą satysfakcję dało mi to, że mieszkańcy Białej Podlaskiej w wyborach bezpośrednich trzykrotnie powierzyli mi funkcję prezydenta miasta.

Kiedy rozpoczęła się Pana kariera polityczna?

– Śmiało mogę powiedzieć, że w latach 80., ale nie użyłbym słowa polityczna, a raczej samorządowa. Wtedy bowiem zaczęła się przygoda z wolnością, nie tylko moja przygoda. Po studiach wróciłem do Białej Podlaskiej i dostałem pracę na stanowisku ekonomisty w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej. Wtedy też zaangażowałem się w działalność opozycyjną. Do związków zawodowych zapisałem się nie dlatego, że potrzebowałem cebuli na zimę czy biletów do kina, ale dlatego, że chciałem innej Polski. Byłem przewodniczącym delegacji związków zawodowych w zakładzie mleczarskim. W czerwcu 1981 roku zostałem przewodniczącym bialskiego oddziału „Solidarności" Regionu Mazowsze.

Sześć miesięcy później został Pan internowany.

– Wtedy miałem już dwoje dzieci i z żoną Krysią spodziewaliśmy się trzeciego. Z jednej strony miałem poczucie odpowiedzialności za kraj, ale z drugiej wiedziałem, że zostawiam swoją rodzinę w niepewności i strachu. Te doświadczenia ze stanu wojennego rzutowały na dalsze moje życie.

Mówi Pan teraz o swoim życiu prywatnym czy zawodowym?

– I tym, i tym. Internowanie i w ogóle cały stan wojenny miał łamać charaktery. W moim przypadku przyniósł odwrotny skutek. Ukształtował mnie jako człowieka wiernego etosowi „Solidarności". Uczciwość i godność wpoili mi moi rodzice, a działalność opozycyjna wiązała się po prostu z dążeniami wolnościowymi. To wszystko przełożyło się później na pracę na rzecz budowania społeczeństwa samorządnego. Poświęciłem temu lata pracy – najpierw jako senator, później wojewoda bialskopodlaski, a w końcu, najdłużej, jako prezydent Białej Podlaskiej. Jestem z tego niezmiernie dumny, bo

uważam, że samorządy są fundamentami demokratycznego ustroju.

Pamięta Pan pierwszy dzień pracy w magistracie?
– Szczerze mówiąc, nie bardzo. Pamiętam jakiś moment, kiedy mój poprzednik Maciej Kosik w przelocie dał mi jakieś klucze, chyba do gabinetów, i maskotkę z napisem „idź na wagary". Nie korzystałem z tej rady (śmiech).

Wracając do tematu ostatnich wyborów samorządowych – żegna się Pan z urzędem...
– Takie jest życie. Wyborcy tak zdecydowali. Ale muszę powiedzieć, że nie odchodzę ze spuszczoną głową. Nie odchodzę przegrany. Przez szesnaście lat udało mi się wiele zrobić dla mieszkańców Białej Podlaskiej, chociaż oczywiście zawsze pozostaje niedosyt. Te szesnaście lat upłynęło nie wiadomo kiedy. Nie były to lata stracone, ale żal mi, że zapoczątkowanych w ostatnim czasie projektów nie uda mi się sfinalizować. Nie dla satysfakcji, ale dla bialczan i ze względu na to, że wiele osób ciężko na nie pracowało. Bardzo chciałbym, żeby mój następca postąpił rozsądnie i doprowadził do końca choćby program rewitalizacji doliny Krzny i budowy ścieżek rowerowych. Te inwestycje to dla naszego miasta duża szansa. Trzeba ją wykorzystać, nie oglądając się na to, na kogo spłynie splendor.

Biała Podlaska zmieniła się w tym czasie bardzo... Pamięta Pan, jak wyglądała, kiedy został Pan prezydentem?
– Oczywiście. To, co się w tym czasie zmieniło w naszym mieście, jest powodem do zadowolenia. Jeszcze w 1998 roku odcinek ulicy Narutowicza od al. Tysiąclecia do Jana Pawła był piaszczysty.
I chodziły tamtędy krowy. Pamiętam rynek, urząd miasta i ludzi, tłoczących się przed wejściem do budynku przy ul. Piłsudskiego, żeby dostać się do rejestracji pojazdów. Takie były początki. Urzędnicy siedzieli w kilku budynkach rozsianych po różnych ulicach. Naczelnik jednego z referatów, ale nie powiem którego, przyjeżdżał do pracy motorowerem. Koledzy zrobili mu kiedyś psikusa i spuścili powietrze. Ale już mówiąc poważnie, trzeba podkreślić, jak bardzo zmieniła się infrastruktura, szczególnie ta w bialskiej oświacie. Jeśli porównamy wygląd naszych szkół do tych w dużych miastach, naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Nasze placówki edukacyjne są dopieszczone i doinwestowane. Poza tym kadra ma wysokie kwalifikacje, a wyniki nauczania są powyżej średniej. Nie zapominajmy o szkołach integracyjnych i specjalnych, stowarzyszeniach i warsztatach terapii zajęciowej, a także powstałym ostatnio Centrum Integracji Społecznej.

Widać, że ważna jest dla Pana sfera społeczna.
– Bez fałszywej skromności powiem, że czuję, o co chodzi w samorządzie. A chodzi o ludzi, bo to oni tworzą miasto, jego tożsamość i klimat. Nie do przecenienia są potrzeby niematerialne. Cieszę się, że uaktywniają się poszczególne grupy, koła zainteresowań, środowiska... Infrastruktura to nie wszystko. Żeby w mieście żyło się dobrze, potrzebny jest jego zrównoważony rozwój we wszystkich dziedzinach, na różnych polach. Cieszę się, że my, mieszkańcy Białej Podlaskiej, zaczynamy tworzyć wspólnotę. Prawdziwe obywatelskie społeczeństwo. Integracji mieszkańców miało też służyć pismo „Pryzmat". Cel, jaki przyświecał temu wydawnictwu, to budowanie poczucia dumy z mieszkańców, utalentowanych i interesujących, ale też budowanie tożsamości lokalnej.

Dla wielu mieszkańców jednak najistotniejszym problemem jest brak pracy. To było koronnym argumentem Pana przeciwników.
– Zgadzam się, że bezrobocie jest naszym problemem. Nie zgadzam się jednak z głosami, że to prezydent ma stwarzać miejsca pracy czy budować fabryki. Samorząd nie jest od tego. To, co mogliśmy zrobić w zakresie ożywienia sytuacji gospodarczej, zrobiliśmy. Przygotowaliśmy tereny pod inwestycje, uzbroiliśmy je i wyposażyliśmy w odpowiednią infrastrukturę. W tej kwestii nie ma żadnych zaniedbań. Pamiętajmy, że chodzi o sprzyjanie podmiotom gospodarczym, a nie wyręczanie ich. Jestem zdania, że wiele osób potrzebuje porad i ukierunkowania, jak i gdzie uzyskać dotacje. Jest wiele możliwość, z których mogłyby korzystać choćby stowarzyszenia czy spółdzielnie socjalne.

Jak postrzega Pan swoje dokonania?
– Nie chcę, żeby zabrzmiało to górnolotnie, ale całe swoje życie zawodowe poświęciłem społeczeństwu. Swoje starania zawsze rozpatrywałem nie w kategoriach pracy, etatu w magistracie, ale służby publicznej. Mam ogromną satysfakcję, że na moich oczach i z moim udziałem dokonały się tak istotne dla historii Polski i Europy zmiany. Jak przyłożymy miarę przeszłości, tego, jak było dwadzieścia pięć lat temu i jak jest teraz, tak pod względem materialnym, ustrojowym, ale również geopolitycznym, to jesteśmy naprawdę szczęśliwym krajem. Trzeba to docenić. To samo tyczy się naszej małej ojczyzny.

Jest Pan dumny z Białej Podlaskiej?
– Bardzo. Wiem, że myśli tak coraz więcej osób.

Uważa Pan, że bialczanie doceniają zmiany, jakie zaszły w mieście na przestrzeni ostatnich lat?

– Mam taką nadzieję. Bardzo bym chciał, żeby obiektywizm w ocenie tego, co zrobiłem dla miasta, wziął górę nad niepochlebnymi i krzywdzącymi mnie opiniami niektórych środowisk, głównie politycznych. Zapewniam, że w pracy zawsze kierowałem się dobrem mieszkańców, nie partykularnym interesem. Brzydzę się kumoterstwem, cwaniactwem, obłudą... Nie jestem też, jak się okazało, typem wyborczym, bo nie roztaczam populistycznych wizji. Realnie stąpam po ziemi i w ten sam sposób podchodzę do zadań, jakich podejmuje się samorząd. Trzeba o tym pamiętać, że nie wszystko da się zrobić od razu. Coraz więcej osób wraca do Białej Podlaskiej, żeby założyć tu rodziny, domy. Nasze miasto jest coraz lepszym miejscem do życia. Żeby tak się stało, poświęciłem wiele lat swojego życia.

Chce Pan czegoś pożyczyć swojemu następcy?
– Żeby nie zaprzepaścił szansy na dalszy rozwój miasta i nie zmarnował potencjału, jaki tkwi w mieszkańcach.

A czego życzyć Panu?
– Żeby dorobek moich czterech kadencji był dalej rozwijany, a przynajmniej nie zmarnowany.

sztuka i ludzie

CZAS ZROBIŁ SWOJE

z Romanem Pieńkowskim,
bialskim artystą plastykiem, kierownikiem działu promocji kultury i sztuki współczesnej oraz edukacji plastycznej i Galerii Podlaskiej,
rozmawiała **Katarzyna Fronc**
foto **Natalia Wołosowicz**

Niedawno w Galerii Podlaskiej miał Pan wystawę swoich prac. Przyznam, jak na Pana, nietypową. Gdzie się podziały obrazy, grafiki, pastele, do jakich Pan nas przyzwyczaił? Zaskoczył Pan bialczan.
– Bardzo przyjemnie jest zaskakiwać wystawą. Czuję w sobie niespokojnego ducha, który dokądś mnie gna, burzy spokój pomysłami na to, co jeszcze w życiu można zrobić. Tych planów jest sporo i bardzo chciałbym je realizować, aby mieć poczucie, że coś się dzieje, że nie egzystuję w stanie hibernacji. Poza tym bardzo lubię manualne zajęcia. Niedawno przez dwa tygodnie wykonywałem pomniejszoną replikę gitary elektrycznej, wiszącej w pracowni jako rekwizyt do martwych natur. Podarowałem ją na 18. urodziny ulubionej kółkowiczce „Babosi".

Zaprezentowana instalacja przestrzenna przedstawia konie. To popularny na Podlasiu motyw. Ale czy nie banalny?
– Nie lubię, kiedy dzisiaj malarze malują konie, to prawda. I to nie ma nic wspólnego z Podlasiem. Wystarczy zobaczyć obrazy naszych XIX-wiecznych malarzy koni, te cudownie wystudiowane, autentyczne i oryginalne ich wizerunki i porównać z tymi wykombinowanymi na podstawie różnych fotografii. Zawsze mam wrażenie, że to jest nieszczere i nużące. Ale nie znaczy to, że koń jest dla mnie jakimś odrzucanym tabu. Jeśli wykorzystuję jego motyw, to nie dla samego tematu konia, ale skłania mnie do tego przekaz, w którym on występuje.

Czy konie są dla Pana nowym tematem?
– Nie do końca. Kilka lat temu, tak do szuflady, wykonałem serię ilustracji do „Krzyżaków", „Starej Baśni" i „Chłopów". Czy można sobie wyobrazić te ilustracje bez koni? Całe życie uczyłem się kreować realia historyczne w moich rysunkach, ale nigdy nie sięgam do zdjęć, jako ściągawek. Wiem, jak wyglądał koń w poszczególnych epokach i w sposób autorski kreuję go na potrzeby ilustracji. Niedawno brałem udział w wystawie grupowej „Krajowa 63", inspirowanej drogą. Na jednym z obrazów namalowałem pustą łąkę, a na niej, jakby doklejoną, starą czarno-białą fotografię z pasącym się koniem. To taka przeszłość wklejona we współczesność. Tak więc wykorzystuję motyw konia, jako znak. Poza tym mógłbym wiele opowiadać o koniach mego życia, obserwowanych i podziwianych od dziecka.

Proszę się nie krępować...
– Kiedy jako dzieciak mieszkałem w Gryfinie, chmary miejskich wróbli buszowały na końskich kupach zalegających brukowane ulice – koni było mnóstwo, tych chłopskich, i tych pociągowych, wykorzystywanych w miejskim transporcie. Tam dwukrotnie widziałem spłoszone konie z rozniesionym w strzępy sprzętem, który za sobą ciągnęły. Aleksander Gierymski mógłby pod wpływem takiego widoku namalować scenę bitwy z udziałem artylerii konnej.

Zrobiło się sentymentalnie...
– Jestem chory na sentymenty. Do różnych rzeczy – do przeszłości, do ludzi i przedmiotów. Ciągle bym się zanurzał w przeszłości, pielęgnował ją i pieścił. To takie niepraktyczne podejście do życia, a ono jest takie krótkie i ulotne... Więc terapia, polegająca na wylewaniu miodu na serce, ma jakiś sens. Mam to szczęście, że mogę żyć twórczo, że mogę z moimi kółkowiczami śpiewać stare piosenki przy plenerowych ogniskach, wracać po pracy do pełnego ciepła domu i... do wspomnień.

Zdradzi Pan, skąd pomysł na tematykę ostatniej wystawy?
– Bezpośrednim bodźcem były odnalezione przeze mnie w Internecie zdjęcia przedstawiające burzenie kina, do którego chodziłem w Gryfinie jako dziecko, by zaszczepiać się magią filmu. Niektóre z obejrzanych tam filmów wyjątkowo mnie urzekły i to spowodowało późniejsze do nich powroty. Jednym z nich był film „Dyliżans" Johna Forda. Miałem chyba osiem lat, jak moja mama „przemyciła" mnie na ten film, bo uwielbiałem indiańsko-kowbojskie historie, konie itp.

Okazuje się, że kino może być inspiracją dla artysty...
– Chyba nie ma takiej rzeczy na świecie, która nie mogłaby być nią być. Nawet banał można potraktować przewrotnie i zrobić z niego, w sposób świadomy oczywiście, rzecz doniosłą. Mnie tymczasem do wykonania mojej instalacji zmotywowały konkretne bodźce. A tak nawiasem mówiąc, to jestem tylko skromnym plastykiem i krępuje mnie uży-

sztuka i ludzie

wanie w stosunku do mnie określenia „artysta". Moja życiowa rola polega na kształtowaniu twórczych możliwości u moich podopiecznych z kół plastycznych, które prowadzę w Bialskim Centrum Kultury.

Wracając do wystawy... Jak wyglądały przygotowania do jej otwarcia?
– Na jednym ze wspomnianych zdjęć zaskoczyło mnie, że kino leży w gruzach, ale ściana z ekranem wciąż stoi i jest doskonale widoczna. To miało niezwykle symboliczną wymowę i od razu przyszedł mi do głowy pomysł na tę wystawę. Muszę przyznać, że był trochę zwariowany. Podzieliłem długość galerii i wyszło mi, że muszę wyrzeźbić osiemnaście koni i dyliżans, żeby wypełnić odpowiednio przestrzeń. Zanim zabrałem się do pracy, długo łamałem sobie głowę nad tym, jak technicznie rozwiązać budowanie tych form, jakie zastosować materiały. Praca trwała rok, przy czym przez ostanie trzy miesiące chodziłem spać między drugą a czwartą nad ranem.

Tej instalacji nie można chyba rozpatrywać wyłącznie w kategoriach realizmu? Ona ma głębsze przesłanie...
– Cała kawalkada została zaaranżowana w oparciu o filmową scenę przedstawiającą pościg grupy Apaczów za dyliżansem. Ta długa sekwencja przeszła do historii kinematografii. Na dyliżansie usytuowałem postaci dokładnie w takim układzie jak w filmie. Na tylnej ścianie sali wystawowej umieściłem dużych rozmiarów zdjęcie zburzonego kina. W ekran, za pomocą programu graficznego, wkleiłem scenę z filmu, jakby ciągle trwała jego projekcja. Podwieszone pod sufitem rzeźby są przedłużeniem tego filmowego kadru. Na przeciwległej ścianie, na wprost pędzącego dyliżansu, umiejscowiłem fotografię przedstawiającą mnie jako małego chłopca, siedzącego w kinie za dwiema postaciami. Jedną z nich jestem ja współczesny. Druga postać to pogrążona w mroku sylwetka jakiegoś anonimowego sąsiada z kinowego rzędu. Konie, składające się na moją instalację, niosą na swoich grzbietach przesłanie.

Ma ono związek z tytułem wystawy?
– Tytuł można traktować w sposób wieloznaczny. Czas zadziałał na niekorzyść „mojego" kina, które przestało istnieć. Film „Dyliżans" obejrzałem kilkadziesiąt lat temu, a teraz do niego wracam – nazwałem to klamrą spinającą tamten czas z czasem obecnym. Na zdjęciu w kinie siedzę „tamten" i „ten", a więc tak, jakby w dwóch różnych czasach jednocześnie. No i w końcu te galopujące konie, które wszystko zapętlają – one wybiegły z powalonego kina i pędzą w stronę małego Romka, wracają do niego... Ale przecież obok niego siedzi ten sam Romek, tylko już bardzo dorosły i mający świadomość tego, jak galopuje czas. Te konie, to galopujący czas.

Czy w przypadku Pana twórczości czas jest pewnym filtrem, drogowskazem czy może najzwyczajniej w świecie pokazuje drogę, jaką przeszedł dojrzały artysta?
– Jeśli chodzi o twórczą stronę mego życia, to w oczywisty sposób odczuwam, jak z upływem czasu zmienia się twórcze myślenie. Kiedyś wykonywałem swoje prace w sposób bardziej spontaniczny. Teraz w przypadku wielu z nich nie dopuściłbym do tego, by ujrzały światło dzienne, zanim nie zostałyby dopieszczone, dopowiedziane. W obrazach szukam trochę innych kolorów, łagodzę je i uspokajam, czasami przyciemniam paletę.

Często wspomina Pan o swoich „kółkowiczach". Wielu z nich pojawiło się na wernisażu Pana wystawy.
– Moje koło składa się z trzech grup. Najpierw była grupa licealna, później założyłem grupę gimnazjalną, zaś przed kilkoma laty – dziecięcą. Trzy lata temu połączyłem koła gimnazjalne i licealne i stworzyłem dodatkowe koło dla osób dorosłych. Praca z każdą z tych grup niesie inne doświadczenia, ale z wszystkimi pracuje się znakomicie.

To budujące, że młodzi ludzie garną się do sztuki...
– Jeśli chodzi o młodzież, zmienia się ona na przestrzeni lat w sposób znaczący, czego symptomy widać również u moich podopiecznych. Wiele rzeczy ma na to wpływ, ale najbardziej przeszkadza mi ta ciągła pogoń... za czasem. Znowu ten czas. Jedno się nie zmienia – wciąż sporo jest młodzieży wrażliwej i twórczej, która w natłoku zajęć potrafi znaleźć lukę, pozwalającą na przyjście raz w tygodniu na trzygodzinne zajęcia do BCK. Są osoby, które wykorzystają to w dalszej edukacji, jednak większość przychodzi na zajęcia z czystej pasji. Tutaj też spędzają czas w miejscu wolnym od wzajemnych animozji, zawiści i podobnych rzeczy. Tu tworzą się trwałe przyjaźnie, a byli kółkowicze chętnie wracają, by powspominać przy herbacie dawne czasy. Takie spotkania mają miejsce zarówno w pracowni, jak i w moim domu, gdzie zwyczajem się stało wspólne oglądanie dobrych filmów.

Widać, że dużo czasu poświęca Pan swoim podopiecznym.
– Każdego roku w lipcu wyjeżdżam z moją młodzieżą w najpiękniejsze miejsca w Polsce na dwutygodniowe warsztaty plastyczne. Ta wspaniała przygoda uwieńczona jest później wystawą powstałych tam prac. Miłe jest to, że koleżanki i koledzy nieuczęszczający na zajęcia, mogą je podziwiać. To dowartościowuje młodych twórców.

Jest to potrzebne?
– Młody człowiek często nie zdaje sobie sprawy ze swoich twórczych możliwości. Wystarczy jednak dać mu do rąk odpowiednie narzędzia, materiały i sprecyzować zadanie, a rezultat pracy zaskakuje samego autora.

Ma Pan kontakt z dawnymi „kółkowiczami"?
– W maju tego roku zorganizowałem w Drohiczynie miniwarsztaty malowania akwareli dla dorosłych członków koła. Zaprosiłem też kilkoro byłych kółkowiczów. Przyjechali: Paweł, absolwent warszawskiej ASP, który chodził na pierwsze koła ponad dwadzieścia lat temu, Agnieszka, od kilku lat już pracująca w zawodzie architekta, Asia, która w tym roku obroniła prace na dwóch uczelniach, w tym na wydziale architektury, i Jola, studiująca obecnie na wydziale grafiki warszawskiej ASP. Ta czwórka spotkała się z osobami z aktualnego składu koła dla dorosłych. Trzy dni upłynęły w cudownej atmosferze przyjaźni, zbratania, zauroczenia sobą nawzajem. A przecież przekrój wiekowy, to cała historia koła Gwasz. Czas... Czas... Czas...

BELLA KARIERA

tekst Edyta Tyszkiewicz
foto archiwum

Kiedy była nastolatką, powiedzieli jej, że nigdy nie zostanie modelką. Nie załamała się, bo w zanadrzu miała jeszcze kilka pomysłów na życie. Kiedy skończyła 28 lat, nadarzyła się okazja, by znów spróbować swoich sił w świecie mody. Dziś bialczanka Katarzyna Pirogowicz ma za sobą kilka pokazów mody we Włoszech i Szwajcarii, profesjonalne sesje zdjęciowe, a swoją przygodę z modą rozpoczęła zaledwie kilka miesięcy temu.

Kaśkę znam od kilku lat i wiem, że jest osobą, która nie boi się spełniać swoich marzeń i śmiało dąży do obranych celów. Często robi to na przekór innym. Kiedy była nastolatką, chciała zostać modelką, ale znawcy tematu orzekli, że z taką urodą kariery na pewno nie zrobi. Faktycznie jej uroda jest dość kontrowersyjna, dlatego marzenia o byciu modelką bialczanka schowała gdzieś głęboko i zajęła się realizowaniem kolejnych.

Fantazja we Włoszech

Kaśka od dziecka kocha zwierzęta, a najbardziej konie. Wymyśliła więc sobie, że kiedyś będzie miała własnego i udało się. Jeszcze będąc w podstawówce, zapisała się na lekcje jazdy konnej, a gdy zarobiła trochę własnych pieniędzy, kupiła klacz.
– Fantazję kupiłam w 2008 r. za własne, ciężko zarobione pieniądze. Sama się nią opiekowałam, jeździłyśmy razem na zawody – opowiada Kaśka. Tak przywiązała się do zwierzęcia, że nawet gdy wyjeżdżała na stałe do Włoch, nie chciała się z nim rozstawać. – Znalazłam pracę przy koniach, a moi pracodawcy pozwolili mi trzymać Fantazję w jednym z boksów w swojej stajni – wyjaśnia Kaśka. Przyznaje, że gdyby nie ich pomoc, nie byłoby jej stać na utrzymanie własnego konia we Włoszech.

Przygoda

Przeprowadzka do Włoch była kolejnym marzeniem bialczanki, które z powodzeniem zrealizowała, chociaż początki nie były łatwe. Kiedy pierwszy raz tam pojechała, nie znała włoskiego. – Porozumiewałam się po angielsku, ale kiedy poznałam pewnego Włocha, który bardzo mi się spodobał, postanowiłam nauczyć się włoskiego – wspomina ze śmiechem dziewczyna. Twierdzi, że ten kraj jest miejscem, w którym chce mieszkań.
– Tutaj czuję się jak w domu. Uwielbiam ten klimat, ludzi. Tutaj też spełniam swoje marzenia – mówi bialczanka.
Myśl, by spróbować sił w świecie mody pojawiła się, kiedy Kaśka zamieszkała w Mediolanie. – Pomyślałam sobie: kurczę, przecież mieszkam w jednej z europejskich stolic mody, więc dlaczego by nie spróbować? Przecież nic mnie to właściwie nie kosztuje, a czas ucieka – Kaśka przyznaje, że właśnie wiek był bodźcem, bo, jak powszechnie wiadomo, tuż przed trzydziestką ciężko zrobić karierę w modellingu. Okazało się jednak, że nie tylko bardzo młode dziewczyny mogą zaistnieć na rynku modowym i nie zawsze liczy się „ładność". Ważne są charakterystyczne rysy twarzy, takie, które przyciągają uwagę. Liczą się też osobowość i silny charakter. – Osoby dojrzałe dużo lepiej radzą sobie w tej pracy. Nastolatkom na pewno nie jest łatwo, bo to ciężka praca, która wymaga wielu wyrzeczeń i kompromisów – uważa Pirogowicz.

Dobrze trafić

Kaśka w krótkim czasie podjęła współ-

pracę z dwoma agencjami – Bookin' Agency z Mediolanu oraz z New Faces Model Agency by Franco Taranto, mieszczącej się w Szwajcarii. Mediolańska agencja jest duża i pracujące tam dziewczyny muszą radzić sobie same. Za to agencja znanego włoskiego fotografa Franco Taranto ma pod swoimi skrzydłami niewielką ilość modelek, dlatego bardzo o nie dba. To właścicielowi agencji Kaśka zawdzięcza najwięcej. – Przyznam szczerze, Taranto przy pierwszym naszym spotkaniu strasznie mnie zdołował. Powiedział, że widząc moje zdjęcia spodziewał się po mnie czegoś więcej, ale zaraz też dodał, że widzi we mnie potencjał i nawet mój wiek nie stanowi problemu – wspomina Katarzyna. To właśnie w New Faces Model Agency nauczyła się chodzić, ubierać. – Nauczyli mnie też kilku prostych tricków, które musi znać każda modelka – śmieje się bialczanka. – Taranto na tyle we mnie uwierzył, że zaproponował mi udział w największym wydarzeniu modowym w Szwajcarii.

Po zaledwie dwóch miesiącach pracy jako modelka Kaśka wyszła na wybieg podczas „Moda Sotto le Stelle". Jest to impreza, która odbywa się raz w roku, a zjeżdżają na nią najwięksi styliści z całej Europy.

Na wybiegu

– To był mój pierwszy pokaz na tak dużą skalę, przy tak dużej publiczności. Oczywiście było też mnóstwo ludzi od strony zaplecza, fryzjerzy, styliści, ludzie od makijażu. Wszystko było naprawdę świetnie zorganizowane. Pracowaliśmy od 9.00 do późnych godzin nocnych – opowiada Pirogowicz. Ze śmiechem wspomina tamto wydarzenie i chociaż pierwsze wyjście na wybieg było dla niej bardzo stresujące, to już przy kolejnych czuła się jak ryba w wodzie. – Na tamtym pokazie czułam, że jestem w swoim żywiole i przyznam szczerze, to właśnie chodzenie po wybiegu podoba mi się bardziej niż sesje zdjęciowe – zdradza. Chcąc brać udział w większej ilości pokazów, Kaśka zaczęła pracować jako freelancerka. Pozwalają jej na to umowy, które zawarła ze swoimi agencjami.

Praca podczas pokazów łączy się z częstymi wyjazdami i niejednokrotnie z niskimi zarobkami. – Na początku, gdy chciałam zdobyć doświadczenie a pokaz odbywał się w Mediolanie, zgadzałam się wystąpić za darmo. Na tym właśnie polegają kompromisy, ale teraz, na szczęście, nie muszę aż tak się poświęcać – mówi modelka.

W połowie października Kaśka wzięła udział w kolejny dużym pokazie mody „Bologna Fashion Show", gdzie prezentowała ubrania, buty i okulary znanych włoskich stylistów.

To dopiero początek

Chociaż Kaśka woli pokazy mody, to oczywiście bierze też udział w sesjach zdjęciowych. Wiele z nich jest naprawdę udanych. Intrygujące są zdjęcia w scenerii przypominającej zakład psychiatryczny z horrorów. Fotografki Angelica Guida i Silvia Vipiana oraz ich modelka stworzyły niesamowity klimat. – Naprawdę robiłyśmy zdjęcia w opustoszałym zakładzie psychiatrycznym. To była świetna przygoda – Kaśka przyznaje, że właśnie na tej sesji czuła się najlepiej, bo mogła odgrywać różne sceny. Trochę trudniej pracuje się jej przy sesjach modowych, ale nie stroni od nich. Na początku lipca wystąpiła jako fotomodelka przy nowej kolekcji Fashion Couture włoskiej projektantki Mariany Babcinschi. Poza tym wciąż chodzi na castingi. Chciałaby pracować jak najwięcej. Gotowa jest nawet rzucić swoją ukochaną pracę przy koniach. – Wiem, że modelling to tylko takie pięć minut w moim życiu, dlatego chcę temu poświęcić cały swój czas. Wiadomo, że po trzydziestce wiele modelek odchodzi na modową emeryturę – mówi Pirogowicz. Jednak póki co marzy, by się rozwijać i występować na pokazach światowej sławy projektantów. Ten świat, w który weszła na początku tego roku, spodobał się jej na tyle, że chce być z nim związana nawet po zakończeniu kariery modelki. Widząc, jak łatwo przychodzi jej spełnianie marzeń, może się jej udać.

ZDROWIE I URODA POD JEDNYM ADRESEM

tekst Radosław Plandowski,
foto Natalia Wołosowicz

Z pozoru zwykły sklep z kosmetykami lub pamiątkami, wyróżniający się oryginalnymi półkami i ascetycznym wnętrzem. W rzeczywistości miejsce otwarte na osoby niemal w każdym wieku, świadome i myślące proekologicznie i prozdrowotnie.

Pani Halina Piesta nie zaszczepiła u synów matematycznego zacięcia, ale dzięki ich różnym pasjom i zainteresowaniom dzisiaj prowadzą wspólnie w Białej Podlaskiej przy ulicy Reformackiej sklep „Bez konserwantów". To właśnie od Wojciecha – starszego z nich, zaczęła się przygoda z własnym przedsięwzięciem. Wcześniej były jeszcze trudności ze znalezieniem odpowiedniej pracy, problemy z jakimkolwiek zajęciem, bo po 50. roku życia otrzymanie stałego zatrudnienia graniczy z cudem. Młodsi nie mają łatwiej. Wojciech z żoną Magdą próbowali w dużych miastach, Lublinie i Warszawie, ale po pewnym czasie doszli do wniosku, że takie życie nie do końca im odpowiada. Potrzebowali więcej spokoju i poczucia robienia czegoś w zgodzie z własnymi przekonaniami. Tak zrodził się grunt dla wspólnej inwestycji. Pieniądze znalazły się dzięki projektowi skierowanemu do osób starszych, które nie mogą znaleźć zatrudnienia na kilka, kilkanaście lat przed emeryturą.

Ekonisza

Decyzja o formie prowadzonego biznesu nie była łatwa, bo Biała Podlaska to miasto wymagających odbiorców albo przyzwyczajonych do znanych marek. – Z pomocą przyszli synowie, którzy z naturalnymi kosmetykami mieli do czynienia już wcześniej – wyjaśnia pani Halina. Dodatkowo był to atrakcyjny kierunek do wejścia na rynek, na którym praktycznie nie ma jeszcze solidnej konkurencji. Oczywiście można było znaleźć niektóre produkty w internecie, ale odnalezienie odpowiedniego asortymentu na miejscu było już trudniejsze, a w przypadku kosmetyków wypróbowanie odpowiednich zapachów wydaje się niezbędne. Patrząc z innej strony, inwestowanie w oryginalne produkty było też

sporym ryzykiem. Warto było je podjąć, bo efekty można dostrzec gołym okiem. Przestrzeń sklepowa wygląda skromnie, ale gustownie. Ma też odpowiedni klimat, bo właśnie tutaj często powstają teksty literackie Jakuba – młodszego z synów pani Haliny. Na półkach zaprojektowanych i skonstruowanych przez Wojciecha można znaleźć masła do ciała, kremy, olejki, mydła, perfumy w kremie, szampony, kosmetyki do pielęgnacji i stylizacji włosów, wodę różaną, a także oddzielne miejsce z produktami opartymi na miodzie i dedykowanymi dla najmłodszych. Wszystko naturalne, otrzymywane ze składników pochodzenia naturalnego, bez składników zagrażających ludzkiemu zdrowiu. – Nie sprowadzamy także produktów testowanych na zwierzętach, bo nie chodzi tyko o sprzedawanie samych kosmetyków, ale jednocześnie zarażanie stylem życia naturalnym i ekologicznym, bardziej świadomym – precyzuje Wojciech. Znajdą tu coś dla siebie osoby w każdym wieku, niezależnie od płci, bo na półkach nie istnieją takie podziały. Próżno szukać także kosmetyków, mających służyć konkretnym, „magicznym" celom. Głównym kryterium są tutaj składniki, przeważnie kombinacje ziół, mające wywoływać nie tylko efekt kosmetyczny, ale także pomagać w leczeniu chorób skóry czy problemów z włosami. Okazuje się także, że klientami sklepu stają się coraz częściej mężczyźni, obalając w ten sposób mit, że dbanie o ciało to głównie domena kobieca.

Zdrowie i różnorodność

Siłą rzeczy „Bez konserwantów" najczęściej odwiedzają osoby młode, wtajemniczone w trendy proekologiczne i preferujące życie bliżej natury. Ważnym strategicznym posunięciem sklepu jest współpraca z innymi bialskimi firmami, które stawiają sobie podobne, ambitne cele. Chodzi o to, aby przy różnych okazjach – festynach i promocjach – łączyć siły i opowiadać o pozytywnych efektach zdrowego i świadomego życia. Tak naprawdę nie chodzi przecież o coś nowego i przełomowego, a właściwie powrót do metod pielęgnacji praktykowanych w przeszłości. Łatwo ponieść się głośnej reklamie, agresywnej promocji popularnych kosmetyków, tymczasem najlepsze wzory wynosimy z domu. – Swoim dzieciom dodawałam do kąpieli otręby pszeniczne, a dzisiaj bez problemu można zakupić sole, których receptura bazuje właśnie na otrębach – opowiada pani Halina.
Mogłoby się wydawać, że gdy stawiamy na zdrowie, od razu musimy wziąć pod uwagę większy wydatek. Tymczasem oferta kosmetyków jest wystarczająco różnorodna i cenowo dostosowana do odbiorców z małego miasta. Często kosmetyki o podobnym przeznaczeniu kosztują tyle samo, a nawet mniej niż w znanych drogeriach. Produkty nie odbiegają także cenowo od tego, co możemy znaleźć w internecie, gdzie dodatkowo musimy opłacić przesyłkę i nie mamy komfortu sprawdzenia kosmetyków na miejscu.
Asortyment dla najbardziej wymagających klientów to zaledwie 5 proc. całości, ale właściciele i tak podkreślają, że najważniejszym celem jest znalezienie kompromisu między ceną a jakością. Takie podejście dominuje także wśród odbiorców. Do bialskiego sklepu, oprócz polskich kosmetyków, trafiają produkty z Indii i Rosji (okolice Syberii są wyjątkowo

obfite w dzikie rośliny niespotykane w innych częściach świata). W planach jest również poszerzenie bazy kontrahentów o Wielką Brytanię. Głównym założeniem jest jak największa różnorodność, nie skupianie się na jednej marce czy kraju pochodzenia.

Sklep z filozofią

Zgodnie z najnowszymi trendami firma ma docelowo stać się miejscem przyjaznym i otwartym. Głównym zajęciem będzie oczywiście sprzedaż ekologicznych kosmetyków, ale właściciele chcieliby także, aby klienci mieli okazję przyjść na dłużej, wypić kawę, porozmawiać, dowiedzieć się czegoś więcej o produktach. – Aktualnie skupiamy się na sprzedaży stacjonarnej, ale powoli myślimy także o stronie i sklepie internetowym – wyjaśnia Wojciech. W planach pozostaje także poszerzanie współpracy z bialskimi firmami, promującymi zdrowy tryb życia i filozofię zbliżoną do „Bez konserwantów". Ambicją rodzinnego biznesu nie są tłumy walące do sklepu drzwiami i oknami, bardziej zaś chodzi o jakościową relację z odbiorcą. Coraz więcej osób wraca do Białej, są to młodzi ludzie, którzy chcą mieć tutaj dostęp do niektórych usług, z którymi mieli styczność w dużych miastach. Chodzi także o to, by każdy klient mógł poczuć się jak osoba z konkretnymi potrzebami. Właścicielom bardziej zależy na kontakcie ze stałym i świadomym odbiorcą niż klientem masowym. Warto zajrzeć do sklepu jeszcze przed świętami, gdzie będzie można skomponować własne zestawy, które w pięknym opakowaniu będą dobrym prezentem dla najbliższych osób.

Oddech kanibala, czyli o larpach na dwa głosy

tekst: Gabriela Kuc-Stefaniuk (totalny laik), Radosław Huszał (profesjonalista)
foto Natalia Wołosowicz

Kto trafił 12 października na Piaski, a był niewtajemniczony, mógł się przestraszyć, widząc „szaleńców", biegających po lesie z obłędem w oczach. Trudno jednak pozostać spokojnym, czując na sobie oddech kanibala...

Nuklearna zima powoli dobiegała końca. Z mroku piwnic i schronów atomowych powoli zaczęły wypełzać grupki ludzi, próbujące wydrzeć dla siebie kawał ojczyzny na niegościnnym ugorze. Żołnierze, walczący o przywrócenie ładu. Rebelianci, pragnący przetrwać kolejny dzień oraz kanibale, których zdziczenie i zapach ludzkiego mięsa ściągał coraz bliżej osad. Brak dostępu do stałych źródeł wody, skażenie radioaktywne, zmutowana flora i fauna – to tylko kilka z „atrakcji", które czekały na uczestników larpa „Oddech Kanibala".

Radioaktywny wybuch

Spalona Dolina od stuleci rządziła się swoimi prawami. Po Wielkim Wybuchu egzystencja w tym rejonie stanęła pod wielkim radioaktywnym znakiem zapytania. Trzy zupełnie różne frakcje zaczęły walczyć o strefę wpływów – oto tło historii Radka Huszała. Jak początek klasycznej science fiction. Dziwactwo? Przypomnijmy sobie czasy, gdy popołudniami, a latem całymi dniami, bandy dzieciaków biegały między krzakami, odgrywając wyimaginowane historie, których scenariusz powstawał na gorąco, tworzony wspólnie, choć zawsze z dominującym głosem „przewodnika stada". To chyba jednak lepsze niż wielogodzinne ślęczenie przed komputerem.

Frakcje

Choć wielu osobom jest to kompletnie obca konwencja i estetyka, trudno zaprzeczyć, że każda forma aktywności na świeżym powietrzu to dobrodziejstwo. Ale żeby fascynaci larpów nie obrazili się za trywializację tematu, kontynuujmy. Oto dramatis personae. Wojsko: pozostałości kompleksów militarnych. Zdyscyplinowani, zdeterminowani, nieprzekupni. Rebelianci: zbieranina pozostałych przy życiu osadników. Mistrzowie walki partyzanckiej, cechujący się umiarkowaną brawurą. Kanibale: upadła sekta religijna, której rytuały dawno zatarł radioaktywny pył, a jedynym obrzędem scalającym ich jako grupę jest jedzenie ludzkiego mięsa. Jak się jednak okazuje, nie jest to dobra podstawa diety, bo kanibale od tego głupieją. No i jest Mutant: rezydent Nawiedzonego Gaju – zły, brzydki i nieśmiertelny. Mamy tu więc klasyczny podział na dobre i złe charaktery oraz morał: niewłaściwe odżywianie odbiera rozum.

Kostiumy

Opowieść nie byłaby kompletna bez kostiumów, czyli „stylówy". Od wojska wymagano pełnego umundurowania („góra kontraktowego hi-tec szpeju, emki, giety"), rebelianci nosili „spodnie w camo lub cywilne, szpej niekontrastowy"

i „dobity". Kanibale byli odziani w czarne skóry i dzwonili łańcuchami oraz straszyli krwistymi motywami na twarzach. Samowolce zapobiegały jasno określone zasady („mechanika"): Gdy jesteśmy trafieni, wyciągamy czerwoną szmatę i czekamy 1 minutę, aż się zagoi. Możemy zostać przeniesieni w bezpieczne miejsce, ale (i tu podziw laika za przywiązanie do decorum) bez trzymania za ramię biegnącego trupa. Najważniejsze jest to, że uczestnicy naprawdę poważnie potraktowali opowieść, co jest w końcu niezbędne, by było wiarygodnie, a przede wszystkim, żeby był fun. Przecież całe to „szaleństwo" nie było dla kogoś, dla jakiejś publiczności, ale dla siebie.

Teatralna wizja

rzeciwnicy mogą zapytać, po co tyle agresji i złowieszcze klimaty. To chyba jednak nie jest kwestia tematu, ale dystansu. Ilu rodziców godzi się przebrać za baśniową postać, dobrą i łagodną, by dawać uciechę swoim dzieciom w przedszkolu w Dniu Postaci Baśniowych? Dorosłość może zabić dystans do samego siebie i dziecięcą tęsknotę za przygodą. Komu nie odpowiada frakcja kanibali, mógłby zorganizować wyścig z elementami grzybobrania do domu babci pomiędzy oddziałem Czerwonego Kapturka a bandą Kota w Butach. Ale ze stosowną stylówą!

Teatralizacja w życiu jest nam trochę potrzebna. Czym innym jak formą teatralizacji właśnie są larpy? Live action role-playing to – w olbrzymim skrócie – opowieść, jaką tworzą na żywo uczestnicy wcielający się w określone role, realizując przypisane im przez scenariusz zadania. Od nich samych zależy komponowanie zarysowanej fabuły oraz to, czy będą się dobrze bawić. Fani larpów wywodzą się m.in. ze środowiska wielbicieli gier strategicznych. I tu wspomnienie laika: gdy ja pociłam się, zdając egzamin na studia, mój szwagier, który miał mnie duchowo wspierać, grał na Mikołajskiej w Krakowie z przypadkowo spotkanym 13-latkiem w Magic, bo karty woził ze sobą wszędzie. Gdyby wtedy natknął się na jakieś larpy, biegałby pewnie po kopcu Kraka.

Nauka zabawy

A tak całkiem poważnie: larpy to już dziedzina nauki. Mają swoją teorię, ich projektowania można się uczyć, studiując humanistykę 2.0 (np. na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy). Mówią o nich liczne strony internetowe, portale, mają obszerną bibliografię, od 2012 roku odbywają się w Polsce poważne konferencje naukowe na ich temat.

Kto może grać? Radek Huszał: – Z uwagi na używanie replik asg niezbędna jest ochrona oczu dla wszystkich uczestników oraz pozwolenie od rodziców dla osób pomiędzy 16. a 18. rokiem życia. Poza tym jest kilka indywidualnych wymogów stylistycznych dla poszczególnych imprez, ale nie są one związane z wielkimi nakładami finansowymi, tak więc, teoretycznie, może grać każdy.

Przyszłe edycje larpów w Białej Podlaskiej będą miały coraz mniej militarny charakter, aby zachęcić osoby nieposiadające replik asg do wspólnej zabawy i wczuwania się w swoje role i postacie.

W FERAJNIE KLAWO JEST

Tekst Joanna Olęcka
Foto: Natalia Wołosowicz, archiwum

W Białej Podlaskiej tradycja ulicznego muzykowania dotąd nie była szczególnie popularna. Śmiało można powiedzieć, że budzi się dopiero dzisiaj, kiedy z każdym rokiem piękniejąbialskie podwórka, a kamieniczki odzyskują dawny blask. Skoro coraz częściej czerpiemy radość z bycia mieszczanami, najwyższa pora na podwórkową kapelę z prawdziwego zdarzenia.

Wszystkim znana jest warszawska Kapela Czerniakowska, ale kto z nas wie, że w Białej także mamy swoich miejskich grajków. I to nie byle jakich!
Kapela Klawa Ferajna, bo o niej mowa, powstała w czerwcu 2009 roku w wyniku zbiegu kilku okoliczności. Był to trudny okres dla kapeli Zespołu Pieśni i Tańca Podlasie, która wtedy została rozwiązana. Zaprzyjaźnieni ze sobą muzycy postanowili nie zmarnować wspólnie spędzonego czasu i zdobytych doświadczeń. I tak powstał pomysł, by założyć nowy zespół.

Muzyka w sercach

W skład kapeli wchodzą: Mariusz Polak (kierownik kapeli, śpiewający oraz grający na akordeonie), Dariusz Chorąży (instrumenty perkusyjne), Krzysztof Laszewski (gitara oraz banjo mandolinowe), Sławomir Mielniczuk (skrzypce), Jakub Gdela (akordeon), Arkadiusz Saczuk (gitara basowa) oraz Arkadiusz Juźko (saksofon i klarnet). To grupa dojrzałych mężczyzn, pracowników, ojców... Jednak, kiedy przyjrzeć się bliżej, przede wszystkim artystów. Sami jednak mówią o sobie, że nie są profesjonalistami. – Muzyka po prostu jest w naszych sercach od zawsze – zapewniają. To właśnie pasja do muzyki oraz wspólne doświadczenia w muzykowaniu połączyła ich w Klawej Ferajnie. Członkowie kapeli wśród swoich rozlicznych codziennych obowiązków znajdują czas na spotkania, próby, ot takie wspólne granie, sprawiające wiele radości nie tylko słuchaczom, ale także samym muzykom. – Muzyka jest dla mnie odskocznią od rzeczywistości, czymś lepszym, co sprawia, że mogę się przenieść w inny świat – mówi Laszewski.

Początki

Współinicjatorem powstania Klawej Ferajny był Józef Komorowski, znany bialski miłośnik folkloru i przyjaciel muzyków. Bialczanie po raz pierwszy mogli zobaczyć zespół podczas jednego z etapów 52. Wyścigu dookoła Mazowsza „Tour de Mazovia", jaki odbywał się w naszym mieście.
Od chwili powstania kapela sukcesywnie się rozwija. Brała udział w festiwalach i konkursach. Pierwszym z nich był Ogólnopolski Festiwal Kapel Podwórkowych w Piotrkowie Trybunalskim, z którego członkowie Klawej Ferajny przywieźli wyróżnienie. – Stało się dla nas ogromnym bodźcem do dalszej pracy i sprawiło, że postanowiliśmy być jeszcze lepsi – wspomina Polak. Od tamtej pory muzycy systematycznie prezentowali się na przeglądach kapel podwórkowych w całej Polsce. Niewątpliwie punktem zwrotnym był udział w 36. Ogólnopolskim Festiwalu Kapel Folkloru Miejskiego w Przemyślu, gdzie Klawa Ferajna zdobyła nagrodę główną, stając się tym samym

jednym z bardziej rozpoznawalnych zespołów w swoim gatunku.
Wygrana dla tak młodego zespołu dodała wiatru w żagle i sprawiła, że muzycy zaczęli wierzyć w sens swojej pracy. Co ich wyróżnia? Co sprawia, że publiczność ich kocha? Zapewne niezwykła skromność i autentyczność. Kiedy grają i śpiewają, razem z nimi zaczyna śpiewać cały świat, zaklinają przestrzeń pozytywną energią i sprawiają, że z pozoru zwykłe życie staje się bardziej znośne, nabiera barw. Muzyka, którą tworzą, nie jest pretensjonalna, trafia prosto w serce i na długa zaraża je swym pozytywnym przekazem. Zespół niewątpliwie można uznać za kreatorów nowej, miejskiej kultury, kultury radosnej, odwołującej się do uniwersalnych mądrości ludowych i tradycji.

Miejska piosenka

Pierwsze koncerty bialskiej kapeli pokazały, że muzyka, jaką grają, jest bardzo dobrze odbierana przez publiczność. Wesołe i błyskotliwe teksty przy akompaniamencie skocznej melodii „żywych" instrumentów dają mnóstwo radości odbiorcom. To wszystko sprawia, że terminarz występów Klawa Ferajna ma bardzo napięty i wciąż dostaje nowe propozycje.
Poza autorskim aranżowaniem znanych szlagierów muzyki podwórkowej członkowie kapeli tworzą także własne teksty, piszą muzykę. Inspiracje – jak mówi Mariusz Polak – czerpią przede wszystkim z życia codziennego, w szukaniu radości z rzeczy najprostszych, z bycia tak po ludzku, razem. Tak też powstała nazwa zespołu, jako wypadkowa wspólnych pomysłów i efekt przyjaźni między muzykami. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że kapela nagrała niezwykle sentymentalną piosenkę pt. „Moja Biała", do której powstał także teledysk. Słowa utworu napisała przebywająca na emigracji Anna, córka Sławomira Mielniczuka. Piosenka zdobyła serca bialczan i stała się znakiem rozpoznawczym kapeli. Teledysk został nakręcony w świeżo odrestaurowanym parku Radziwiłłów, co dodatkowo podkreśliło charakter utworu, mówiącego o miłości do małej ojczyzny. Takie inicjatywy cieszą, sprawiają, że miejska rzeczywistość nie jest taka szara.

MAKSYMALNIE

tekst Radosław Plandowski, foto archiwum

Maksyma – 1984 r.

W tym roku mija 30 lat, odkąd na literackiej mapie kraju pojawił się Klub Literacki Maksyma. Wprawdzie początek tej pięknej inicjatywy datuje się na rok 1982, jednak dopiero dwa lata później grupa amatorskich twórców przyjęła nazwę, która z powodzeniem funkcjonuje do dziś.

Przez trzy dekady zmieniło się w Polsce niemal wszystko, począwszy od przemian politycznych i gospodarczych, a skończywszy na rewolucji społeczno-kulturowej. Pomyśleć, że w tamtym czasie, kiedy kilku skromnych literatów przekraczało progi Klubu Kultury Piast w Białej Podlaskiej, nikt nie miał jeszcze pojęcia, czym jest Internet, Facebook i Twitter, w telewizji nie słyszano o „Teleexpessie" czy „Panoramie". W radiu rozpoczynał nadawanie swojej listy przebojów Marek Niedźwiedzki, a na piłkarskich stadionach polska reprezentacja święciła ostatnie wielkie sukcesy. Coś minęło, ale pewne rzeczy pozostały w niezmienionym stanie. W małym, bialskim klubie kultury niezmiennie otwierają się szeroko drzwi literatom, pasjonatom i czytelnikom.

Kroniki

Jest coś wyjątkowego w historii, którą można odnaleźć w zakurzonych kronikach Piasta. Przeglądając kolejne strony wielkich ksiąg, których pierwsze roczniki rozpoczynają się od końca lat 70. ubiegłego wieku, natrafiamy na ludzi i miejsca tworzące magię. Prawdziwa podróż w czasie odbywa się tropem fotografii zachowanych w świetnym stanie. Kolejne kartki to jakby następne części wyjątkowego filmu, gdzie przewijają się barwne postacie, ich losy, sukcesy i dramaty. Wszystko rozjaśniane dzięki wiedzy osób żyjących w tamtych czasach. Jest ich coraz mniej, ale wszystko, co mają w pamięci, tworzy legendę. Prawda w całości wydaje się ciężko dostępna, jednak można po nią sięgać, nawet w niewielkich fragmentach. W taki sposób rysuje się obraz pierwszej Maksymy.

Kronikę rozpoczyna znamienny wpis autorstwa Haliny Walczak – dziś najstarszej autorki klubu i jedynej, która jest w nim od samego początku. Wspomina pochmurny dzień, w którym znalazła ogłoszenie o naborze członków do grupy literackiej. Oczami wyobraźni podążamy za nią, schodami w górę, na końcu których trafiamy na

> „Maksyma zawiera w sobie dziś to, co charakteryzowało ją od zawsze: różnorodność opinii i środków literackich"

ówczesną kierowniczkę Piasta Bożenę Pawlinę. To właśnie jej osoba musiała inspirować początkujących twórców, bo od jej drugiego nazwiska (Maksymiuk) wzięła się późniejsza nazwa grupy.

Początek

Wchodzimy na górę, gdzie naszym oczom ukazuje się duża sala zastawiona krzesłami. Na jej końcu scena, na której rozpoczyna się właśnie wieczór poetycki w wykonaniu zespołu teatralnego Sylaba 73. Jest 26 stycznia 1984 roku. Kilka osób czytających wiersze, akompaniament gitary i pianina, dekoracja w postaci świec i gałęzi... Na tym tle garstka autorów, którzy za chwilę stworzą grupę literacką, pozują do pierwszego wspólnego zdjęcia. Stoją w jednym szeregu, ze swoim pierwszym prezesem Antonim Zenonem Lewczukiem – w samym środku. Na podwyższeniu najniższa ze wszystkich Ela Kuc, która już w tamtym czasie mogła pochwalić się wyróżnieniem w konkursie literackim, organizowanym przez Wojewódzki Dom Kultury i redakcję „Słowa Podlasia". Niektórzy uważają, że właśnie to wydarzenie, czyli ogłoszenie konkursu literackiego „Moje Podlasie" w 1983 r., stało się impulsem dla powstania grupy. W zapowiedzi wydarzenia czytamy zapewnienie: łamami „Słowa Podlasia" będziemy służyć popularyzacji rodzimej twórczości. I trzeba przyznać, że z takich zapowiedzi tygodnik wywiązywał się dość rzetelnie. Częste były publikacje wierszy, dodatek literacki „Z podlaskiej niwy" i zapowiedzi imprez, które dzisiaj prawdopodobnie przeszłyby bez echa. Szkoda, że na gruncie publikowania literatury w prasie miejskiej tak dużo się zmieniło, ale nie ulega wątpliwości, że w tamtych czasach miała ona ogromne znaczenie dla promowania autorów-amatorów i czytelnictwa. Trafnie napisał Zygmunt Mikulski – jeden z ówczesnych jurorów, poeta, dziennikarz i krytyk – że nawet znaczki pocztowe zbiera się po to, żeby je w końcu komuś pokazać. Można zatem stwierdzić, że skoro wszystko ma swój początek, to Maksymie udało się wystartować dzięki rywalizacji literackiej.

Takiej, jaką później wymyślili sami, żeby podtrzymywać piękną tradycję. Zanim jednak do tego doszło, jako potwierdzenie ambicji ukazał się zbiór „Prezentacje", w którym zostają zamieszczone utwory pierwszych „Maksymowiczów": Ryszarda Świątka, Antoniego Zenona Lewczuka, Haliny Walczak, Elżbiety Kuc, Wiesława Gromadzkiego, Ewy Koziary i innych. To już materialny dowód na to, że w Białej Podlaskiej urodziła się ważna inicjatywa, a jej potwierdzeniem są kolejne odważne kroki.

Przykład

W 1984 r. po raz pierwszy startują Podlaskie Spotkania Poetyckie (później Literackie), a rok później I Konkurs Literacki im. J.I. Kraszewskiego. Zasady niemal identyczne do dziś: 5 utworów poetyckich lub maksymalnie 20 stron prozy. Za najlepszą pracę można było zgarnąć 15 tys. zł. (przeciętne wynagrodzenie wynosiło wówczas ok. 20 tys. zł). Podsumowanie odbyło się w romanowskim Muzeum Biograficznym im. J.I. Kraszewskiego, a w składzie jurorskim pojawili się: Jan Koprowski, Zdzisław Łączkowski, Zygmunt Wójcik, Franciszek Piątkowski i Waldemar Michalski. Rozdano wówczas łącznie 17 nagród, a o wydarzeniu pisano wszędzie, gdzie się dało, między innymi dlatego, że robili to sami „Maksymowicze". Pisano szeroko o laureatach i jurorach, prezentowano obszerne fragmenty tekstów, przedstawiano autorów. Maksyma i jej potomstwo w postaci Spotkań Literackich oraz konkursu kwitły, przenosząc swoje aspiracje z Białej na okoliczne miejscowości. Następne wydarzenia odbywały się już nie tylko w grodzie nad Krzną, ale również w Łosicach, Parczewie czy Wisznicach, gdzie poruszano ważne i problematyczne kwestie dotyczące współczesnej literatury.

Laureaci konkursu – 1986 r.

Nazwiska

Poza tym literatura pojawiała się także w muzyce i piosence. W ciągu 30 lat przez spotkania przewinęły się takie nazwiska jak: Magda Umer, Maciej Zembaty, Jacek Dewódzki czy Marek Dyjak. Ścisła współpraca z lubelskimi i warszawskimi literatami zapewniała za to ciągły dopływ pochlebnych opinii i dostępność znanych nazwisk w środowisku. Oprócz wymienionych już jurorów do Białej zaglądał chętnie Ernest Bryll, Bohdan Zadura, Zbigniew Jerzyna, Jerzy Koperski, Henryk Pająk czy Waldemar Michalski.

Z czasem środowisko się rozrastało, Maksyma poszerzała kręgi, a inicjatywy nabierały charakteru ogólnopolskiego. Duża w tym zasługa Wieśka Gromadzkiego, który od 1986 r. przez blisko dwie dekady organizował życie kulturalne i artystyczne ambitnych literatów. Zanim dopadła go choroba alkoholowa, zdążył pozostawić po sobie mnóstwo tekstów, również dziennikarskich i poświęconych literackim tradycjom regionu, które potwierdzają jego zaangażowanie. Można wręcz stwierdzić, że Maksyma i Spotkania Literackie działają do dzisiaj w dużej mierze dzięki jego pasji i oddaniu. Jednak nie tylko jego w tej sytuacji należałoby wyróżnić, bo równie wiele pasji i oddania posiada w sobie Irek Wagner, przewodzący Maksymie do dzisiaj. Jego osoba inspiruje kolejne już pokolenia Maksymy. Początkujący literaci mają także niezmiennie swoich powierników w pracownikach klubu Piast. Od samego początku znajdowali tutaj miłą atmosferę, otwartość i troskliwą opiekę, między innymi Urszuli Pietruczuk, która zajmowała się Maksymą przez ponad dwie dekady.

Różnorodność

Zdarzało się w ciągu tych 30 lat, że mała literacka impreza przeradzała się w całotygodniowy, a nawet miesięczny festiwal. Były także lata chude, gdzie wybrzmiewała ta sama, smętna nuta o słabym wsparciu finansowym i braku promocji tak ważnych wydarzeń. Do takich tonów można się przyzwyczaić, bo zawsze jest dobry powód, żeby zrobić coś pozytywnego, mimo przeciwności losu. Aktualnie do tych uniwersalnych kwestii dochodzi jeszcze jedna w postaci drastycznego spadku czytelnictwa. Maksyma jednak nie zwalnia i stale cieszy się odpowiednim zainteresowaniem. W dodatku zawiera w sobie dziś to, co charakteryzowało ją od zawsze: różnorodność opinii i środków literackich. Piszą dziś w klubie poeci i prozaicy, pasjonaci realizmu i fantastyki, form mniej i bardziej poważnych, młodzi i starzy – jednym słowem: każdy ma prawo głosu i nikt nie może tego prawa odebrać.

Rozwijają się także Spotkania Literackie i konkurs im. J.I. Kraszewskiego. Szczególnie w tym drugim aspekcie jest czym się pochwalić, bo ostatnimi laty zainteresowanie tą literacką rywalizacją nie maleje, a wręcz przeciwnie – wzrasta. Dzieje się tak być może również dlatego, że konkurs mimo trwałych elementów wciąż ulega pewnym przemianom. Najnowszą i najbardziej przełomową była całkowita rezygnacja z tradycyjnej, papierowej formuły przesyłania zgłoszeń. Dzięki temu udało się zaoszczędzić nie tylko czas organizatorów, ale także ułatwić archiwizację prac, nie wspominając o względach ekologicznych.

Rozwój

Już teraz wiadomo, że pomimo wcześniejszych wątpliwości, ta zmiana wpłynęła na zwiększenie zainteresowania konkursem w porównaniu do ubiegłych lat. Kolejne przemiany są zapewne kwestią czasu, jednak z pewnością nie będą przeprowadzane na siłę, bo ważnym staje się także utrzymywanie pewnych standardów, praktykowanych i sprawdzonych w ciągu wielu lat funkcjonowania przedsięwzięcia.

W ubiegłym roku udało się doprowadzić do zarejestrowania Bialskiego Stowarzyszenia Literatów i Dziennikarzy „Maksyma", którego działalność ma być naturalną kontynuacją i rozwinięciem inicjatywy Podlaskiego Klubu Literackiego. Już w latach 80. przewijała się wielokrotnie myśl o organizacji, której celem będzie realizowanie warsztatów, spotkań, odczytów, a w rozumieniu bardziej ogólnym – podtrzymywanie tradycji literackich miasta i regionu. Póki co, wszystko wydaje się na właściwej drodze do spełnienia tych oczekiwań. Nie da się jednak ukryć, że dla sprawnego funkcjonowania każdego przedsięwzięcia niezbędni są ludzie. Bez pasji i kreatywności grupki pasjonatów, którzy pojawili się w Piaście na początku lat. 80. ubiegłego wieku, nie byłoby dzisiaj pięknej tradycji Spotkań Literackich i Maksymy. Naszą powinnością jest podtrzymywanie tego literackiego ducha, którego patronem jest zresztą nietuzinkowa postać Józefa Ignacego Kraszewskiego.

rys. Ala Nazaruk, Koło Plastyczne Kreska

Jacuś pracuś

foto Natalia Wołosowicz

Jacek Daniluk
„Rymowanki wujka Jacka"
www.wds.pl

Od niedzieli po sobotę
Mały Jacuś miał robotę
A to wodę nosił sitem
Dziury w całym sklejał kitem
To znów szukał końca w kole
Lub chciał kury uczyć w szkole
Po ser chodził na pasiekę
Kijem chciał zawrócić rzekę
Potem drewno niósł do lasu
By odpocząć – nie miał czasu
A był dumny niesłychanie
Jakie ważne ma zadanie
Że sił swoich nie żałuje
Och! Jak ciężko on pracuje
Lecz powiedźcie, czy ten Jacuś
To naprawdę mądry Pracuś?

FELIETON

(NIE)ZBĘDNE PRZEDŚWIĄTECZNE PORZĄDKI

foto Angelika Żeleźnicka

W grudniu musi być coś o świętach. Pomyślałam sobie, że dotknę tematu, który od zawsze działa mi na nerwy, a jest tematem odrobinę przedświątecznym. Już na wstępie przyznam szczerze, niemalże bijąc się w piersi – nigdy nie dopada mnie gorączka przedświątecznych przygotowań i bardzo się z tego cieszę. Pewnie wynika to z tego, że jestem nie najlepszą gospodynią, w dodatku dość leniwą. Z drugiej strony lubię porządek, więc staram się na bieżąco wykonywać niezbędne prace domowe tak, by dobrze się czuć we własnych kątach. Ale szaleć ze szmatą tuż przed świętami? Nigdy!
Generalne przedświąteczne porządki uważam za przesadę, a nawet za marnotrawstwo czasu i energii. Już od wczesnego dzieciństwa buntowałam się przeciw takiemu systemowi i nie mogłam zrozumieć, dlaczego akurat tydzień przed świętami trzeba wyciągać wszystko z szafek, myć, pucować, trzepać dywany, chuchać i dmuchać. A potem jeszcze gotować i piec tony jedzenia, praktycznie nie do przejedzenia w ciągu trzech dni. Patrzyłam na mamę i zastanawiałam się, po co ona tak się przemęcza i w dodatku wciąga w to wszystko nas.
Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tych samych czynności nie można wykonywać sukcesywnie przez cały rok. I jakie to ma znaczenie, czy w szafkach sprzątnęłam w listopadzie, czy pod koniec grudnia? Argument, że będą goście, w ogóle do mnie nie przemawiał, bo jakoś nie zauważyłam, by goście szperali nam po szafkach. Moje nastawienie do dziś się nie zmieniło. Wciąż nie do końca rozumiem, po co to wszystko. Przecież po takim kilkudniowym „skakaniu po meblach" i pichceniu żarełka człowiek (a może powinnam napisać konkretniej – kobieta) zasiada do suto zastawionego stołu kompletnie padnięty(a) i marzy o jednym – żeby już wszyscy sobie poszli, by w końcu wygodnie się położyć. Moi drodzy, przecież święta to czas, w którym fajnie jest być między ludźmi, rozmawiać, nabrać pozytywnej energii, niejednokrotnie odświeżyć rodzinne kontakty. A jedyne czego nabieramy, to spora doza zmęczenia z ogromnym dodatkiem przejedzenia. Teraz niemal słyszę, jak na moją głowę sypią się gromy i krytyka w stylu: – A ta to może sobie gadać, skoro nie ma dzieci! (Nie wiem, co dzieci mają do tego). Albo: – Tej to dobrze, bo na święta chodzi do rodziców! To wszystko prawda, ale moja mama przyzna, że żadne z jej dzieci nie wymaga, by tak mocno tyrała przed świętami i naprawdę nie ma dla nas ogromnego znaczenia, czy szklanki lśnią. Oczywiście robi to wszystko, bo chce, żeby było przyjemniej i bardzo to doceniamy, ale gdyby raz powiedziała: – Krochmalę to, nie robię! Przyrzekam, nie mielibyśmy jej tego za złe. Zresztą, moja mama jest dość reformowalna i od dawna na Wigilię przygotowuje jedynie niezbędną ilość potraw, ale dwa dni świąt wciąż są obfite. Prawdę mówiąc ten temat, też jest ciekawy i od dawna dyskutuje się o nim we wszystkich mediach.
Co zrobić, żeby się nie przejadać? O tym na pewno mógłby powstać odrębny felieton. Ba! Może nawet cała rozprawa naukowa. Wracając jednak do tej niezrozumiałej dla mnie pogoni za każdym pyłkiem. Kochani, a właściwie kochane – nie warto, bo tak naprawę nikt nie zauważy odrobiny kurzu, mało kto doceni pucowanie. Chyba, że robicie to dla własnej satysfakcji. Chyba że to lubicie. To jest być może dobry argument. Jest też drugi, który jestem w stanie zrozumieć. Ci, którym trudno zebrać się przez cały rok do zajrzenia we wszystkie kąty, właśnie ten okres przedświąteczny traktują jako okres ostatecznej mobilizacji. Spinają się, zbierają wszystkie swoje siły i robią. Ja na szczęście do nich nie należę i wierzcie, dobrze mi z tym.

KSIĄŻKA

ZIMOWA RÓŻA

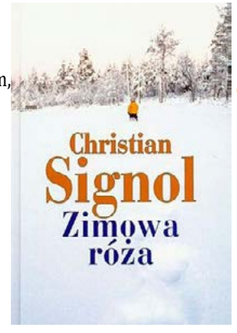

Długo zastanawiałam się, jaką książkę wybrać na grudniowy numer i powiem szczerze, nie wiem, dlaczego mój wybór padł na „Zimową Różę" Christiana Signol'a. Nie jest to książka wybitna, ale jest w niej jakiś spokój, błogość, cisza i ciepło domowe – coś, czego szczególnie potrzebujemy, kiedy za oknami hula wiatr. A przecież temat przewodni tej książki wcale nie jest przyjemny. Bohaterem powieści francuskiego pisarza Christiana Signol'a jest dziesięcioletni Sebastien. Kiedy jego ojciec porzuca rodzinę, chłopiec zapada na ciężką chorobę, białaczkę. Wini za to swojego ojca, ale i matkę, która w tak trudnym czasie nie potrafi być dla niego podporą, nie potrafi z nim rozmawiać. Patrząc na nią, nie widzi kogoś, kto przyniesie mu pociechę i nadzieję. Widzi w niej tylko jej wyrzuty sumienia. Zapewne dlatego postanawia wyjechać na wieś do dziadków, których widział ostatnio jako pięcioletni chłopiec. Ich świat wydaje mu się miejscem idealnym, w którym uda mu się pokonać śmiertelną chorobę, bo jedyne o czym marzy ten mały chłopiec, to móc dalej żyć. Ten wyjazd okazuje się mieć ogromny wpływ na życie bohatera. Rodzice jego matki otaczają go miłością, spokojem i zrozumieniem. Nie zawsze potrafią rozmawiać o jego chorobie, ale ze wszystkich sił starają się podtrzymać w nim nadzieję na życie. Jego dziadek, znany w okolicy zielarz, opowiada chłopcu o pewnej rzadkiej leczniczej roślinie, która pojawia się tylko raz w roku i zakwita pod śniegiem. Dziadek obiecuje wnukowi, że ją znajdzie. Chłopiec czepia się myśli o pierwszym śniegu jak koła ratunkowego, a wizja zimowej róży pozwala mu przechodzić przez trudne etapy leczenia. Dziadkowie dają chłopcu coś jeszcze – w przerwach między pobytami w szpitalu pozwalają mu normalnie żyć, cieszyć się dzieciństwem na spokojnej prowincji.
Ta opowieść wyciska trochę łez, niektórym może wydać się miejscami nudna, ale mi pozwalała na chwile wytchnienia, a nawet błogość.
Nie jest to powieść jedynie o walce z chorobą. Ważne tu są relacje między pokoleniami. Autor pokazuje nam, jak istotna jest rola dziadków w naszym życiu, jak wiele może-my się od nich nauczyć, jak wi-ele mogą dać nam ciepła i poczucia bez-pieczeństwa, czyli czegoś, o czym często wśród natłoku codziennych zdarzeń zapominają rodzice, albo na co nie mają czasu. Ja w tej książce odnalazłam też ślady własnego dzieciństwa, kiedy to pod okiem dziadków spędzaliśmy wakacje i ferie na wsi. Dziadek Sebastiena przypominał mi moich dwóch dziadków, z których jeden, kochający swoją ziemię, emanował ogromnym ciepłem, a drugi zbierał zioła na łąkach i leczył ludzi. Ta książka to również powieść o sile wiary i potrzebie nadziei na lepsze jutro. Myślę, że każdy może tu odnaleźć coś dla siebie.

BOHATEROWIE BIALSKICH ULIC

tekst i zdjęcia Elżbieta Pyrka

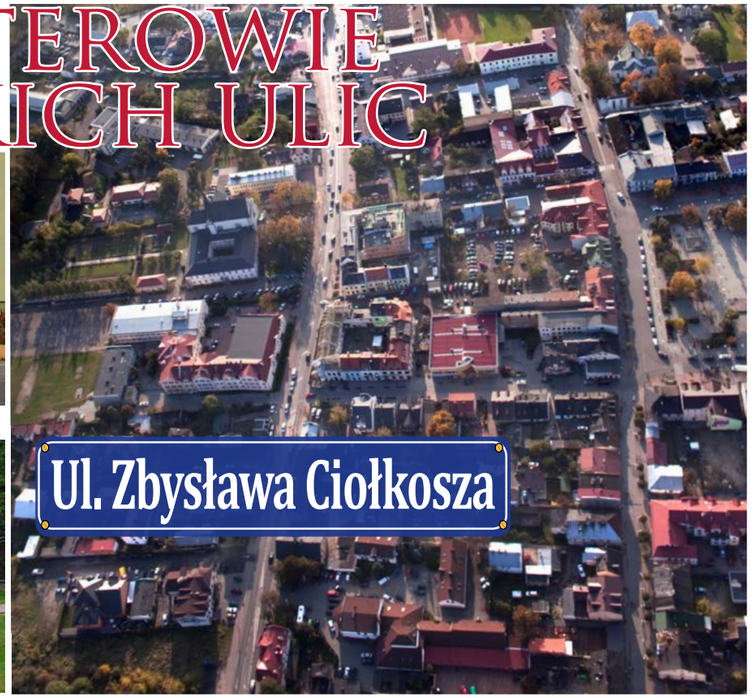

W cyklu „Bialskie ulice" przedstawiamy ludzi zasłużonych dla Białej Podlaskiej i jej mieszkańców. Tym razem prezentujemy sylwetkę światowej sławy inżyniera Zbysława Ciołkosza. Ten wybitny wynalazca i konstruktor z dziedziny lotnictwa i szybownictwa przez kilkanaście lat pracował w Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej. Patronuje ulicy znajdującej się na osiedlu „Żwirki i Wigury" (boczna od ul. Kruczej).

Zbysław Ciołkosz urodził się 23 marca 1902 r. w Krakowie. W 1919 r. ukończył naukę w podstawowej szkole realnej. W 1923 r. obronił się na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej, uzyskując dyplom inżyniera. Praktykę zawodową odbywał w Paryżu w zakładach Hotchkissa.

Z Białej za ocean

Po powrocie do kraju w 1926 r. rozpoczął pracę w Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej. Już w tym samym roku współuczestniczył pod kierunkiem Stanisława Cywińskiego w projektowaniu myśliwca eskortującego PWS-1, będącego jednym z pierwszych polskich projektów samolotów bojowych. Rok później uzyskał drugą nagrodę ministra komunikacji w konkursie na projekt ośmioosobowego samolotu pasażerskiego. Podlaska Wytwórnia Samolotów przystąpiła do budowy prototypu, który otrzymał oznaczenie PWS-30. Zajmował się też popularyzacją sportu lotniczego, a zwłaszcza szybownictwa. Z Białej Podlaskiej wyjechał do USA na stypendium LOPP i ukończył tam studia uzupełniające w zakresie konstrukcji lotniczych, uzyskując w 1930 r. dyplom inżyniera z tej specjalizacji. Po powrocie do Polski znalazł zatrudnienie w Podlaskiej Wytwórni Samolotów na stanowisku samodzielnego konstruktora. Od jesieni 1932 r. przeszedł do pracy na podobnym stanowisku w Warszawie (PZL – Okęcie). Od 1938 r. był dyrektorem Biura Studiów Lubelskiej Wytwórni Samolotów. Ostatecznie wrócił do Białej Podlaskiej z końcem 1938 r. na stanowisko dyrektora Oddziału Studium PWS.

Samoloty w produkcji

Zbysław Ciołkosz współpracował też z innymi konstruktorami, m.in. z inż. Antonim Uszackim. Razem opracowali w 1930 r. jako rozwinięcie PWS-17 projekt dwumiejscowego rozpoznawczo-bombowego PWS-19. O ile „17" nie została zrealizowana, to „19" odbyła próbne loty w 1931 r. Ministerstwo Komunikacji w 1931 r. złożyło zamówienie na szybki samolot pasażersko-pocztowy. Efektem tego stał się projekt pięcioosobowego PWS-54. Prototyp oddano do lotów w 1933 r.
Z chwilą połączenia się Podlaskiej Wytworni Samolotów z Państwowymi Zakładami Lotniczymi Ciołkosz zaprojektował pierwszy polski samolot z chowanym podwoziem. PZL-27 był napędzany przez trzy silniki i przewidywany do lotów pasażersko-pocztowych.
Po nim z desek kreślarni zszedł dwusilnikowy pasażerski PZL-30. Miał trafić do eksploatacji w Polskich Liniach Lotniczych LOT. Te jednak ostatecznie zrezygnowały z zamówienia. Na bazie PZL-30 powstał bombowy (czteromiejscowy) LWS-4 i LWS-6 Żubr. Ciołkosz na cztery lata przed wybuchem II wojny światowej opracował obserwacyjny górnopłat. Z chwilą przeniesienia Lubelskiej Wytworni Samolotów wstępny projekt otrzymał oznaczenie LWS-9 Mewa. Na początku 1936 r. zaprojektował samolot sanitarny LWS-2.

Światowa kariera

Z chwilą wybuchu II wojny światowej Ciołkosz pracował już we Francji. Znalazł zatrudnienie w Tuluzie. Po upadku Francji ewakuował się do Wielkiej Brytanii, gdzie pracował m.in. jako konstruktor w firmie Aero Mechano Ltd. W 1943 został dyrektorem Wydziału Lotniczego Ministerstwa Przemysłu, Handlu i Żeglugi w polskim rządzie emigracyjnym, planując rozwój polskiej produkcji lotniczej po zakończeniu wojny. Był też aktywny w organizacjach lotniczych i konferencjach naukowo-technicznych. To on jesienią 1944 r. miał zaszczyt reprezentować Polskę w Chicago na obradach Międzynarodowej Konferencji do Spraw Lotnictwa Cywilnego.
Po wojnie Zbysław Ciołkosz pozostał na emigracji, znajdując zatrudnienie w angielskich, a od 1948 r. w amerykańskich firmach lotniczych. W USA pracował jako konstruktor w wytwórniach śmigłowców Piasecki Helicopter i Hiller Aircraft Corporation. Od 1959 r. pracował w kanadyjskim oddziale Boeinga. Zmarł 25 czerwca 1960 w Seattle.

Poznajmy nasze możliwości

ZIMA – CZAS DLA BLISKICH

Karolina Laszuk

Grudzień to dla mnie szczególny czas. Kojarzy mi się z rodzinnym biesiadowaniem w Wigilię i poszukiwaniem pomysłu na sylwestra w dobrym towarzystwie przyjaciół. Odkąd pamiętam, spędzałam święta w szerokim gronie. Poza najbliższymi zwykle byli jeszcze dziadkowie, wujkowie, ciocie, a okazjonalnie rodzina mieszkająca dalej. Zdarzało się, że i my wyjeżdżaliśmy, ale zawsze po to, by być w tym czasie wśród osób z rodziny mamy lub taty. Może dlatego nie wyobrażam sobie Wigilii w mniej liczebnym otoczeniu. Teraz mam już swoją rodzinę, ale wciąż staram się, żeby ten dzień spędzić z moimi rodzicami lub teściami. Najczęściej udaje się odwiedzić oba domy lub zorganizować wspólną uroczystość, łączącą obie nasze rodziny.

> „Mniej ważne jest, co przywieziemy ze sobą w święta. Najistotniejsze jest, ile czasu spędzimy razem i jak te chwile wykorzystamy."

Zdarza mi się pomarzyć o wyjeździe gdzieś do ciepłych krajów, z dala od świątecznej gorączki, by zapomnieć o gotowaniu, kupowaniu prezentów i biesiadowaniu przy stole aż do przejedzenia. Ale czym wtedy stałyby się te dni? Zwykłym urlopem. Według mnie jest to czas dla rodziny. Im większej, tym weselej. Wiadomo, że to wiąże się z przygotowaniami, ale od tego jest nas dużo, aby dzielić się obowiązkami tak, żeby wszyscy w te wyjątkowe chwile mogli cieszyć się swoim towarzystwem. Tak naprawdę nie o jedzenie czy prezenty chodzi, ale o to, żeby być razem. Wigilia sama w sobie jest świetnym powodem do spotkania i to nasza tradycja każe nam za wszelką cenę zorganizować przy tej okazji mnóstwo potraw i podarunków. Liczy się jednak wspólnie spędzony czas, a nie ilość dań czy cena niespodzianek pod choinką. Owszem, miło popatrzeć, jak kogoś ucieszy trafiony upominek, ale najważniejsza jest radość z samego towarzystwa, nasza obecność.
Powoli zaczynam sobie uświadamiać, że role odwracają się z upływem czasu. Najpierw sami, jako dzieci, potrzebujemy rodziców w święta i wszelkie ważne dni. Z biegiem lat oddalamy się od nich, zaczynamy pracę, wiążemy się z innymi. To my, a potem i nasze potomstwo stajemy się w pewnym momencie osobami potrzebnymi.
Kiedyś to my zabiegaliśmy o uwagę. Dzisiaj nasze dzieci domagają się zauważenia i poświęconego im czasu. Również rodzice pragną odwiedzin, aby spotkać się z dziećmi i wnukami. Myślę, że mniej ważne, co przywieziemy ze sobą w święta. Najistotniejsze jest, ile czasu spędzimy razem i jak te chwile wykorzystamy. To świetna okazja na wspomnienia, obejrzenie starych zdjęć i filmów, wysłuchanie po raz kolejny znanej wszystkim rodzinnej historii.
Jestem zdecydowaną zwolenniczką rodzinnych świąt w jak najliczniejszym składzie. Znajomi też są ważni, ale z nimi najchętniej spędziłabym sylwestrowy wieczór. Tu znowu liczy się grono, w jakim witamy nowy rok. Nie ważne, czy bawimy się na eleganckim balu, czy w przyciasnym mieszkaniu na prywatce. Nawet zaciszna góralska chata będzie tętnić życiem, jeżeli zapewnimy sobie sprawdzone towarzystwo. Dla mnie liczy się zawsze jakość, a nie ilość gości. Wystarczy grupka znajomych, z którymi dobrze się bawimy, i to jest gwarancja udanego świętowania w każdej scenerii.
Grudzień i pozostałe zimowe miesiące są dobre na dzielenie się szczęściem, pielęgnację związków i relacji w rodzinie oraz wśród przyjaciół. Nie tyle święta, sylwester czy niskie temperatury zbliżają nas do siebie, co potrzeba bycia razem, w otoczeniu osób, na które możemy liczyć, które kojarzą nam się ciepło, z którymi czujemy się dobrze. Często ponury krótki dzień i mniejsza ilość słońca nastraja negatywnie. Więcej czasu spędzamy też w pomieszczeniach. W takich okolicznościach bliskość drugiej osoby działa bardzo pozytywnie i daje nam szansę na dobry humor niezależnie od pogody. Dobrze się składa, że zima jest bogata w okazje do spotkań. W naszych rękach pozostaje je tylko odpowiednio wykorzystać.

foto Natalia Wołosowicz

PIERNIKI ŁĄCZĄ LUDZI

tekst
Małgorzata Tymoszuk
foto:
Natalia Wołosowicz,
Małgorzata Tymoszuk

By poczuć prawdziwą atmosferę świąt zanim jeszcze nadejdą, w domowej atmosferze, z przyjaciółmi można zorganizować – jak my, „pryzmatowe" towarzystwo – wspólne pieczenie pierników. Naprawdę palce lizać! Polecamy, ale nie za wcześnie, żeby choć kilka ciastek udało się dotrzymać do Wigilii i zawiesić na świątecznym drzewku.

W tym roku sprawdzony już przeze mnie wielokrotnie przepis na pierniczki. Mogą zawisnąć na choince albo czekać na właściwy moment świąt Bożego Narodzenia w metalowych puszkach czy szczelnie zamkniętych słojach. Z czasem, odrobinę zmiękną, ale nadal pozostaną przepyszne i aromatyczne. Zaczynamy?

Składniki:
3 szklanki mąki pszennej
2 łyżki mąki żytniej
2 jajka
1/3 kostki masła
1/3 szklanki cukru
6 łyżek prawdziwego miodu albo i więcej...
całe opakowanie przyprawy do pierników
obowiązkowo solidna szczypta cynamonu
1 łyżeczka proszku do pieczenia
2-3 łyżki śmietany 18-procentowej

Sposób wykonania:
Masło z cukrem, miodem, przyprawą do piernika i cynamonem roztapiamy w garnuszku na małym ogniu, co chwile mieszając. Gdy masa wystygnie, dodajemy do niej dwa rodzaje mąk, proszek do pieczenia i jajka. Całość zagniatamy. Ja podwoiłam tę porcję i wyrabiałam ciasto, dzieląc je na mniejsze porcje. Małe kule są łatwiejsze i do wyrobienia, i późniejszego wałkowanie na dość cienkie placki, z których wycinamy pierniczki. Struktura ciasta powinna być dosyć zwarta. Śmietana dodana pod koniec jego wyrabiania posłuży nam, aby w miarę potrzeby trochę rozrzedzić jego konsystencję. Ciasto powinno dać się rozwałkować bez konieczności podsypywania mąki. Jej nadmiar zostanie na piernikach w trakcie pieczenia i nie wygląda to za ładnie. (Przepis na piernikowe ciasto jest tak genialny, że rzeczywiście minimalna ilość mąki była potrzebna do jego rozwałkowania). Pieczemy pierniki około 8-10 minut w temperaturze 180°C (wcześniej trzeba rozgrzać piekarnik do tej temperatury). Na początku pieczenia, raz na jakiś czas, wypatrujemy miodowo-brązowego koloru pierników. Potem, w miarę nagrzania się piekarnika, zaglądamy co pięć minut, sprawdzając, czy są już upieczone. Ale też sam wydobywający się z piekarnika zapach zasygnalizuje nam, że pora je wyjmować.

Cała prawda o cynamonie
Dodanie cynamonu było moim własnym wkładem w zdobyty przepis. Użyłam go nie tylko ze względu, że jego aromat kojarzy się ze świętami Bożego Narodzenia, ale również z powodu jego naturalnych właściwości. Cynamon to naturalny lek wzmacniający nasze serce. Dodawajmy go tak często, jak to tylko możliwe do przeróżnych potraw. Obniży on ryzyko chorób układu krążenia. Ta aromatyczna przyprawa posiada w swoim składzie sporą dawkę przeciwutleniaczy, które osłonią nasze komórki przed uszkodzeniem. Dodatkowo to naturalny afrodyzjak, wpływający na układ krążenia. Osoby chore na cukrzycę powinny dziennie zjadać 1 łyżkę cynamonu i dzięki temu obniżą poziom cukru w organizmie.

Robimy pierniki
Największą frajdę sprawi nam ich wykrawanie i ozdabianie. W tym roku wersja saute. Bez lukru, polewy czekoladowej i posypek cukrowych. Jak się okazało, najlepiej robić pierniki w dobrym towarzystwie. Redakcja „Pryzmatu" stanęła na wysokości zadania, a kreatywność jej członków momentami przyprawiła mnie o lekki zawrót głowy. Ale warto było zaryzykować i zaprosić ich do swojej kuchni. Efekty były niesamowite.
Miałyśmy robić „serwetkowe" pierniki – to znaczy ozdabiać je przy pomocy koronkowej serwetki, której strukturę odciska się na cieście. No cóż... Nie do końca nam się to udało. Okazało się, że serwetka musi być porządnie wykrochmalona, aby jej przepiękny wzór był widoczny na strukturze pierniczka.
Świetnie sprawdziły się za to foremki do wykrajania pierników, które zostały wykorzystane w sposób niekonwencjonalny.
Co bardziej pomysłowe koleżanki jeden piernik wykrawały z kilku foremek naraz. Powstały nawet pierniki w 3D – karp, który wyglądał jak pirania. Przydatne okazały się stemple i inne elementy do pracy z modeliną, wcześniej umyte, zapożyczone od dzieci.
W trakcie intensywnej twórczej pracy, okazało się, że ciasto na pierniki idealnie nadaje się do lepienia przeróżnych innych rzeczy. Pomysłowość kliku osób z „Pryzmatu" nie znała granic. Jak się okazało, zupełnie niekonwencjonalne pomysły kojarzą się z Bożym Narodzeniem. Na początku próbowałam dociec, jaki związek ze świętami ma wieloryb czy główny bohater z filmu „E.T.", ale wkrótce przestałam w to wnikać. Świetnym pomysłem było lepienie twarzy naszych znajomych. Śmiechu było przy tym co niemiara. Redaktor naczelny, lepiony paluszkami pomysłowej Joanny, okazał się jak żywy. Nasza najbardziej pracowita koleżanka Kate została, zgodnie z jej stylem, ozdobiona piernikowym diademem.
Miłośnicy zwierząt jak dzieci cieszyli się, że mają do dyspozycji foremki w kształcie kotów w różnych pozycjach: pojawił się kot wylegujący, z wyprężonym grzbietem i z uśmiechniętą mordką.
W tle, dla świątecznego nastroju, miały znaleźć się polskie kolędy, ale w związku z awarią sprzętu, nuciliśmy je sobie pod nosem same. Było wspaniale, smacznie i wesoło, a jedynym minusem był fakt, że gotowe pierniki szybko zmniejszyły swoją ilość. Najsmaczniejszy był oczywiście największy piernik z napisem „Pryzmat".
Korzystając z okazji, życzymy wszystkim naszym Czytelnikom udanych Świąt Bożego Narodzenia z aromatycznymi piernikami na choince.

Od siebie chciałam podziękować zawsze inspirującej mnie przyjaciółce Basi.

Więcej informacji o bieżących imprezach na **www.facebook.com/pryzmat**

grudzień | grudzień | grudzień | grudzień

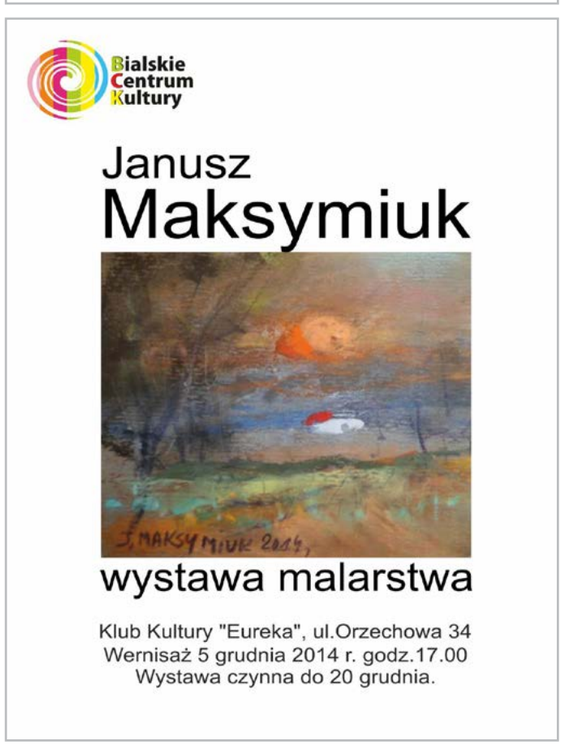

JAK ZROBIĆ PACZKĘ?

1. WYBIERZ RODZINĘ

Z internetowej bazy z opisami sytuacji rodzin w potrzebie wybierz taką, dla której przygotujecie pomoc. Baza otwarta **od 22 listopada.**

2. ZAPROŚ ZNAJOMYCH

Razem łatwiej przygotować paczkę, która będzie realną pomocą i inspiracją do zmiany.

To także świetny sposób na integrację w gronie znajomych!

3. PRZYGOTUJCIE PACZKĘ

Przygotujcie paczkę zgodnie z listą potrzeb i marzeń członków rodziny.

W przygotowaniu pomocy pokieruje Was wolontariusz – opiekun wybranej rodziny.

4. DOSTARCZCIE PACZKĘ DO MAGAZYNU

W weekend **13 - 14 grudnia gotową paczkę zawieźcie do magazynu** w Waszym mieście.

Stamtąd wolontariusz dostarczy ją do rodziny, a Wam przekaże niesamowity prezent – relację z wręczenia paczki.

www.**szlachetnapaczka**.pl

JAK ZROBIĆ PACZKĘ W FIRMIE?

1. WYBIERZ RODZINĘ

Z internetowej bazy z opisami sytuacji rodzin w potrzebie wybierz taką, dla której przygotujecie pomoc.

Wybierając rodzinę **zaznacz w formularzu, że robisz paczkę jako firma** i wpisz jej nazwę.

2. ZAPROŚ ZNAJOMYCH

Razem łatwiej przygotować paczkę, która będzie realną pomocą i inspiracją do zmiany.

To także świetny sposób na integrację w gronie współpracowników!

3. PRZYGOTUJCIE PACZKĘ

Przygotujcie paczkę zgodnie z listą potrzeb i marzeń członków rodziny.

W przygotowaniu pomocy pokieruje Was wolontariusz – opiekun wybranej rodziny.

4. DOSTARCZCIE PACZKĘ DO MAGAZYNU

W weekend **13 - 14 grudnia gotową paczkę zawieźcie do magazynu** w Waszym mieście.

Stamtąd wolontariusz dostarczy ją do rodziny, a Wam przekaże niesamowity prezent – relację z wręczenia paczki.

www.**szlachetnapaczka**.pl

Co jej w duszy gra

Foto N. Wołosowicz

14 listopada wernisaż otworzył w Galerii Podlaskiej wystawę prac malarskich i rysunków Renaty Sobczak, znanej wielu młodym bialczanom z racji zamiłowania do sztuki i prowadzenia koła plastycznego w Bialskim Centrum Kultury.
Na wystawę w dolnej części galerii składa się ponad trzydzieści prac wykonanych głównie akwarelą oraz tuszem. Ich tematyka – jak mówi sama autorka – jest wyobrażeniowa. To świat głęboko ukryty w duszy każdego człowieka. (red)

Konferencja dotycząca autyzmu

Foto M. Krzewicki, Radio Biper

Stowarzyszenie Pomocy Młodzieży i Dzieciom Autystycznym oraz Młodzieży i Dzieciom o Pokrewnych Zaburzeniach „Wspólny Świat" zorganizowało 5 listopada konferencję „Wspieranie osób z autyzmem na przestrzeni ich życia". Zainteresowanie tematyką przeszło najśmielsze oczekiwania organizatorów. W auli Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej zgromadziło się około pół tysiąca osób.
Przy tej okazji Anna Chwałek, prezes bialskiego stowarzyszenia „Wspólny Świat", przedstawiła plany związane z budową Centrum Pomocy Osobom z Autyzmem. Wśród prelegentów znaleźli się znawcy tematu, w tym naukowcy z czołowych polskich uczelni oraz przedstawiciele stowarzyszeń i fundacji, także zagranicznych. W organizację konferencji włączył się wydział edukacji Urzędu Miasta, a jego przedstawicielka zapoznała uczestników, jak wygląda wsparcie osób z autyzmem na terenie miasta Biała Podlaska. (red)

Zacisze świętowało jubileusz

Foto BCK

Bialscy seniorzy 13 listopada spotkali się w sali konferencyjnej przy ul. Brzeskiej, żeby świętować 35. rocznicę funkcjonowania Klubu Seniora Zacisze, działającego przy Klubie Kultury Scena. Oprócz tortu, życzeń i upominków były występy dedykowane jubilatom. Na scenie wystąpili Chłopcy z Wrzosa, członkowie klubu Złoty Wiek, Tysiąclatki i Promyk. Ci ostatni zaprezentowali program satyryczny. Główni bohaterowie uroczystości swoich gości uraczyli programem „35 lat minęło". Gwiazdami wieczoru byli tenor Witold Matulka i sopranistka Dorota Laskowiecka, którzy zaśpiewali najsłynniejsze arie operetkowe. Jubileusz był podsumowaniem zorganizowanych pod patronatem prezydenta miasta Bialskich Dni Osoby Starszej, którym przyświecało hasło „Wiek to nie powód, żeby się wstydzić". (red)

Patriotyczne śpiewanie

Foto BCK

Bialskie Centrum Kultury 6 listopada zorganizowało Konkursu Piosenki Patriotycznej. Jury postanowiło w kategorii solistów przyznać dwa drugie miejsca Julii Lichograj ze Społecznej Szkoły Podstawowej oraz Martynie Majos ze Szkoły Podstawowej nr 2. Trzecie miejsce zajęła Izabela Sochacka z SP 6. Ponadto wyróżnienie przyznano Konradowi Łukanusowi z Zespołu Szkół Specjalnych.
W kategorii zespołów wokalnych równorzędne nagrody ex aequo otrzymały zespoły ze szkół podstawowych, tj. Siostry i Kantata z SP 9. Wśród gimnazjów pierwsze miejsce jury przyznano zespołowi z Publicznego Gimnazjum nr 5, a drugą nagrodę zespołowi z PG nr 6. Wyróżnienie otrzymała Aleksandra Jakoniuk. Nagradzając uczniów szkół ponadgimnazjalnych, jury pierwsze miejsce przyznało Zespołowi Szkół Zawodowych nr 1, a drugie – zespołowi z I Liceum Ogólnokształcącego im. J.I. Kraszewskiego. W kategorii chórów pierwsza nagroda wśród szkół podstawowych przypadła chórowi Oktawa z SP 2, a druga – chórowi Zespołu Szkół z Oddziałami Integracyjnymi. Pierwszą nagrodę odebrał również chór Camerata z IV Liceum Ogólnokształcącego. Konkurs honorowym patronatem objął prezydent miasta Biała Podlaska. (red)

Foto N. Wołosowicz

Bialskie święto niepodległości

Obchody 96. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości rozpoczęły się w Białej Podlaskiej 11 listopada tradycyjnie już na placu Wolności. Kwiaty przed Miejscem Straceń i tablicą Marszałka Józefa Piłsudskiego złożyli przedstawiciele samorządu, parlamentarzyści oraz młodzież z miejskich szkół. Obecne były również poczty sztandarowe i orkiestra dęta z IV Liceum Ogólnokształcącego im. S. Staszica w Białej Podlaskiej. Przy dźwiękach hymnu państwowego uroczyście wciągnięto na maszt flagę. Po oficjalnym powitaniu bialczan przez prezydenta miasta Andrzeja Czapskiego uczestnicy obchodów przemaszerowali do kościoła pw. św. Antoniego, by uczestniczyć w mszy. Następnym punktem patriotycznych uroczystości było złożenie wieńców przed pomnikiem 34. Pułku Piechoty i odegranie „Mazurka Dąbrowskiego".

Były również imprezy towarzyszące, tj. Bieg Niepodległości i turniej szachowy o puchar prezydenta miasta. Ponadto w Muzeum Południowego Podlasia otwarto wystawę „Biała Podlaska. Obrazy z historii miasta".

W przeddzień Narodowego Święta Niepodległości, w poniedziałek 10 listopada, w Zespole Szkół z Oddziałami Integracyjnymi odsłonięto pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tę uroczystość uświetnił koncert laureatów konkursu piosenki patriotycznej „Tobie Ojczyzno". (red)

Foto N. Wołosowicz

Niepełnosprawni za kamerami

Festiwalu Filmowy Twórczości Osób Niepełnosprawnych 7 listopada zorganizował Ośrodek Misericordia Caritas. Tegorocznej edycji przyświecało hasło „niePełnosprawni i uczucia". Ponad trzystu widzów obejrzało dziesięć konkursowych filmów zgłoszonych przez Warsztaty Terapii Zajęciowej, Środowiskowe Domy Samopomocy i Domy Pomocy Społecznej. Główną nagrodę jury przyznało podopiecznym Dom Pomocy Społecznej w Kozuli za film „Tacy sami", który zdobył równocześnie nagrodę publiczności. Drugie miejsce zajął film „nieKALEKA" zgłoszony przez WTZ w Skórcu, a trzecie obraz zatytułowany „Uczucia" Środowiskowego Domu Samopomocy w Białej Podlaskiej. (red)

Foto BCK

Postbubizm z Drohiczyna

W Galerii Podlaskiej 10 listopada miał miejsce wernisaż, który otworzył wystawę zatytułowaną „Postbubizm", na którą złożyły się prace młodych ludzi skupionych w kole plastycznym Kreska. Instruktorka i opiekunka Renata Sobczak wyjaśnia ideę przyświecającą ekspozycji. – Postbubizm został przywieziony z Drohiczyna. W 2013 r. na warsztatach plastyczno-fotograficznych młodzież okryła Bubę. Jest on wszystkim, co młody artysta wie, czuje i widzi. Postbubizm jest więc otwarciem na świat, a różnorodność świata zmusza do poszukiwania różnorodnych rozwiązań artystycznych w zakresie nie tylko tematu, ale i techniki – tłumaczy.

Wystawa jest bardzo różnorodna, dynamiczna, w pracach widać indywidualizm i osobowość autorów. Są wizje kosmiczne wykonane sprayem akrylowym, akwarelami, rysunki ołówkiem, mazakiem, a także grafika cyfrowa i instalacje przestrzenne. Autorami prac są: Maciej Dawidziuk, Bartosz Korszun, Gabriela Jurkitewicz, Ludmiła Majcher, Dominik Nitychoruk, Krystyna Nowaczenko, Monika Protasiuk, Diana Różańska, Paweł Sobczak oraz Karolina Szaniawska. (red)

Foto W. Zaciura

Koncert chóru z Mińska

9 listopada w Białej Podlaskiej gościł chór Cantus Cordis z Mińska na Białorusi. Przyjechał na zaproszenie parafii Narodzenia NMP. Ich koncert uświetnił uroczystości odpustowe ku czci św. Jozafata Kuncewicza, drugiego patrona tej parafii. To szczególny święty, którego życie i męczeńska śmierć związane są z Unią Brzeską. Zginął w Witebsku 12 listopada 1623 r. Został beatyfikowany w 1642 r., a 225 lat później ogłoszony świętym. Przez ponad 150 lat szczątki św. Jozafata przebywały w Białej Podlaskiej, w klasztorze ojców bazylianów. W 1916 r. relikwie zostały przewiezione do Wiednia, a stamtąd do Watykanu, gdzie znajdują się do dziś.

Po mszy odpustowej chór z Mińska koncertował w sali starostwa powiatowego. Koncert przyciągnął licznych słuchaczy. W repertuarze Cantus Cordis znalazły się polskie pieśni patriotyczne i religijne. Niemal wszyscy członkowie chóru to Białorusini posiadający polskie pochodzenie. Pamiętają o swoich korzeniach, kultywują język przodków, mocno trwają przy religii katolickiej i tego uczą swoje dzieci. (mb)

WWW.FACEBOOK.COM/FROSTBITEPOLAND

WWW.WSPIERAM.TO/FROSTBITE

WYDAJMY RAZEM PIERWSZĄ STUDYJNĄ PŁYTĘ FROSTBITE!

ZEBRANE Z WASZĄ POMOCĄ ŚRODKI PRZEZNACZYMY NA:

Tłoczenie i wydruk płyt
Za ewentualną nadwyżkę pieniędzy nagramy teledysk

DZIĘKI WAM BĘDZIE TO:

pierwszy w pełni studyjny album
6 autorskich utworów
2 remixy
oryginalne grafiki bialskiej artystki Agnieszki "Szeli" Barańskiej
promocja w kraju i za granicą

ZOBACZ CO DLA CIEBIE MAMY!
WEJDŹ NA:

WWW.WSPIERAM.TO/FROSTBITE

WYBIERZ OPCJĘ ODPOWIEDNIĄ DLA SIEBIE!
DZIĘKUJEMY!

WSPIERAJĄ NAS:

wspieram.to

biała podlaska

PRZMAT